NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. | Kraków, 6 maja 1916. | Nr. 19.

Tydzień „Czerwonego Krzyża“.



Kiosk przed lokalem biura prezydyalnego Kraj. Stow. „Czerwonego Krzyża“ w Krakowie przy ul. Basztowej l. 6.



Sklep „Czerwonego Krzyża“ na linii C—D w Rynku krakowskim z wyrobami chorych żołnierzy i inwalidów oraz z wydawnictwami Stowarzyszenia.

Tydzień „Czerwonego Krzyża".

W kraju naszym, jak i na całym obszarze monarchii, rozpoczęło się z dniem 30. kwietnia wielkie dzieło dobroczynności: Tydzień „Czerwonego Krzyża".

Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża", nie mające w czasie pokoju odpowiedniego pola do działania, uwydatniło dopiero w czasie toczącej się wojny swoje doniosłe znaczenie. A jeżeli, stanowiąc państwowy związek, Stowarzyszenia wszystkich krajów monarchii przebyły zwycięsko próbę, której rozmiarów przed wojną przewidzieć nie było można, to nasze krajowe Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża" zdobyło sobie w tej wojnie świadectwo tem chlubniejsze, im cięższe tu, na terenach gigantycznych zmagań, były warunki, wśrod których pracowało.

Jak już niejednokrotnie podnoszono, działalność galicyjskiego „Czerwonego Krzyża" siłą faktu przekroczyła znacznie ramy, zakreślone statutami. Nie koniec na tem. „Czerwony Krzyż" bierze na siebie kojenie dalszych skutków wojny. Podejmuje hasło opieki nad kalekami wojennymi. To, co zdziałał na tem polu, stało się wzorem dla zorganizowania wielkiej akcyi w tym kierunku, jaką się stała krajowa komisya opieki nad inwalidami. Wybrani też do niej zostali prawie wyłącznie wyszkoleni i doświadczeni na tem polu członkowie „Czerwonego Krzyża" z prawdziwie niestrudzonym, zawsze czynnym i pełnym zapału prezydentem, księciem Pawłem Sapiehą.

Około tych głównych trzech punktów działalności, to jest szpitalnictwa wojennego, epidemicznego i opieki nad inwalidami grupuje się cała skomplikowana działalność krajowego Stowarzyszenia. Związane z tem nieodłącznie powstają w całym kraju komitety gorliwych naszych pań. Rozwija się akcya w Galicyi w czasie „Tygodnia", pozostaną wyłącznie do dyspozycyi kraju. Co więcej! Część sum, uzyskanych w całej monarchii na cele opieki nad dziećmi, zostanie przelana do Galicyi. Na „Fundusz opieki nad sierotami" nie mający z pewnością w żadnym innym kraju monarchii tak wielkiego znaczenia, jak w naszym, przeznaczona jest, jak wiadomo, jedna trzecia część zysków z tygodnia „Czerwonego Krzyża".

Tydzień „Czerwonego Krzyża", jako przedsięwzięcie w rozmiarach dotychczas niepraktykowanych, rokuje jak najpiękniejsze nadzieje. W całym kraju powstała gorączkowa działalność. Na czele akcyi stanął wiceprezydent namiestnictwa, dr. Stanisław Ustyanowski, długoletni członek zarządu „Czerwonego Krzyża". Obok biur centralnych Wydziału Stowarzyszenia we Lwowie i w Krakowie powstały





Tydzień „Czerwonego Krzyża":

Prezydent krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża" książę Paweł Sapieha. Generalny inspektor „Czerwonego Krzyża" arcyksiążę Franciszek Salwator (X) na Wawelu.

U nas zakładano nie tylko szpitale dla rannych i chorych, nie tylko stacye posiłkowe i odpoczynkowe dla przejeżdżających, znużonych trudami wojennymi żołnierzy, ale, gdy śladami wojny przybyły choroby zakaźne, Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża" było pierwszem, które stanęło z niemi do walki. Jeszcze w styczniu roku 1915, dzięki gotowości Stowarzyszenia, otrzymała armia w Nowym Targu schronisko dla czterystu żołnierzy, dotkniętych gruźlicą.

W lecie ubiegłego roku zorganizowano planową akcyę przeciwko czerwonce i cholerze, a później przeciwko tyfusowi brzusznemu i plamistemu. — „Czerwony Krzyż" posiada obecnie szpitale epidemiczne dla tyfusu plamistego w Żółkwi, Rawie Ruskiej i Bełzie, w najbliższym zaś czasie tworzy nowe w Komarnie i w Rohatynie, nadto sześć szpitali epidemicznych na terenie Królestwa Polskiego.

Z chwilą wybuchu straszliwej epidemii ospy w naszym kraju, „Czerwony Krzyż" wspólnie z Komitetem krakowskim biskupim organizuje kolumny sanitarne, których w powiaty wschodniej części kraju, a nadto w powiaty nowotarski i nowosądecki wysłał przeszło sto.

opieki szpitalnej, powstają szwalnie, kursa pielęgniarskie. W szpitalach „Czerwonego Krzyża" powstają warsztaty, rozwija się racyonalne gospodarstwo domowe, mające na celu produkcyę własnych tanich środków żywności. W biurach powiatowych, zorganizowanych przy każdem starostwie, rozwija się planowa akcya, mająca na celu propagandę, jednanie członków i zbieranie funduszów.

Powyższy obraz olbrzymiej pracy usprawiedliwia w zupełności zapotrzebowanie wielkich zapasów pieniężnych. Tu i ówdzie pojawia się mniemanie, jakoby potrzebnych funduszów dostarczał centralny zarząd austryackiego „Czerwonego Krzyża". Tak bynajmniej nie jest. Krajowe stowarzyszenia zdane są wyłącznie na własne siły i własne źródła dochodów. Towarzystwo „Czerwonego Krzyża" monarchii nie jest instytucyą rządową, a Stowarzyszenia poszczególnych krajów nie są jego filiami. Są to stowarzyszenia humanitarne, zaspakajające impuls kulturalnego społeczeństwa.

Tydzień „Czerwonego Krzyża" ma złożyć dowody, w jaki sposób społeczeństwo to zdoła poprzeć własną instytucyę. Należy podnieść z całym naciskiem, że wszelkie kwoty, zebrane w obu tych miastach komitety miejscowe z przewodniczącym J. E. hr. Pinińskim we Lwowie, a J. E. drem Leo w Krakowie. We wszystkich powiatach ujęli ster akcyi w ręce starostowie.

W Krakowie tydzień „Czerwonego Krzyża" zapowiada się doskonale. Miasto zasypane jest odezwami, na rogach ulic widnieją popularne już afisze „Czerwonego Krzyża". Poszczególne sekcye komitetu wykonawczego pod przewodnictwem J. E. Amalii Kukowej oraz J. E. p. Juliuszowej Leowej, prześcigują się w pomysłach i zabiegach. Biuro prezydyalne ozdobiło efektownym kioskiem wejście do gmachu przy ulicy Basztowej l. 6 i wspólnie ze swym Komitetem Pań opieki szpitalnej urządziło sklep „Czerwonego Krzyża" na linii C—D w dawnym lokalu firmy „Gafota".

Tytułowa rycina przedstawia kiosk przy ulicy Basztowej i sklep w Rynku. Zarówno w kiosku, jak i w sklepie gromadzą się tłumy publiczności.



Tydzień „Czerwonego Krzyża": W składach Biura prez. „Czerwonego Krzyża" w Krakowie: Od lewej ku prawej siedzą: Dr Adam Łobaczewski, Matylda z ks. Windischgrätzów księżna Sapieżyna, ks. Paweł Sapieha, radca dworu Józef Horoszkiewicz. Stoją: ks Adam Czartoryski, rad. namiest. dr. Kalikst Krzyżanowski i dr. Witold Ziembicki.

Na wschodnim froncie.

Ofenzywa sprzymierzonych armii państw centralnych na wschodnim froncie, doszedłszy do pewnego punktu po wypędzeniu nieprzyjaciela daleko poza jego pierwotne granice, na razie przynajmniej została zastanowioną. Na całej tej lini od Rygi aż do Dniestru toczą się tylko z mniejszem lub większem nasileniem walki pozycyjne, przeważnie pojedynki artyleryi. Moskale przechodzili wprawdzie już kilkakrotnie do kroków zaczepnych, spełzły one przecież na niczem, nie pomógł nawet przyjazd samego cara, który święta



Tydzień „Czerwonego Krzyża": Personal Sekcyi Wywiadowczej „Czerwonego Krzyża" w Krakowie (Basztowa 8). (X) Dyrektor biura p. Garapich.

Wielkanocne chciał spędzić wśród swej armii, nie mogąc tego uczynić w „oswobodzonej“ Galicyi, choć iest ona już właściwie oswobodzoną, ale od najazdu rosyjskiego. Mały północno-wschodni skrawek naszego kraju jest wprawdzie jeszcze w ręku wroga, ale i tutaj nie czuje się on pewnym i każdej chwili przygotowany jest na odwrót poza dalsze słupy graniczne.

Gdy na linii bojowej na całym tym kilkusetkilometrowym obszarze czuwa straż, śledząc bacznem okiem ruchy nieprzyjaciela, poza frontem władze okupacyjne rozpoczynają prawdziwie błogosławioną działalność kulturalną, jakiej dotąd tutaj nie znano. Administracya austryacka na Wołyniu ma wiele bardzo trudności do zwalczenia, z dnia na dzień zyskuje sobie przecież coraz większe zaufanie miejscowej ludności, która w zwycięzcach nie widzi ciemięzców, ale właśnie oswobodzicieli, pragnących przywrócić jej prawa człowieka, dotąd tu nieznane.

Co zaś najważniejsze, po latach wielu uwolniono się od zmory prawosławia, ludności tamtejszej narzuconego przy pomocy bagnetu i nahajki. Wołyniacy mogą teraz chwalić Boga tak, jak to czynili niegdyś ich ojcowie i dziadowie, korzystają też w całej pełni z posług duchownych, z jakiemi im spieszą kapłani, towarzyszący armii austryackiej. Schizma, sztucznie tu wprowadzona, traci coraz bardziej grunt pod nogami, do kościoła katolickiego powracają zaś zbłąkane owieczki, gwałtem od niego oderwane. To też każdy szpital wojskowy poza frontem, przy którym rezyduje stale kapłan katolicki, jest dla nich miejscem, dokąd spieszą, ilekroć zajdzie tego potrzeba, wiedząc, że znajdą tu pomoc i radę, skuteczniejszą, niż u swych poprzednich duszpasterzy, bo płynącą z serca.



Tydzień „Czerwonego Krzyża“: W biurze prezydyalnem „Czerwonego Krzyża“ w Krakowie. Od lewej ku prawej: Prez. ks. Paweł Sapieha, rad. nam. dr. Kalikst Krzyżanowski, członek zarządu i dr. Witold Ziembicki kierownik biura.

Zjazd poselski w Krakowie.

W dniu 29. kwietnia rozpoczęły się w Krakowie zapowiedziane od dawnego czasu obrady poselskie, w których wzięli udział członkowie N. K. N., posłowie do Rady państwa i Sejmu krajowego. Obradom przewodniczył prezes Koła polskiego, ekscellencya dr. Biliński. Poruszano kwestye dla narodu polskiego bardzo żywotne, najważniejszą zaś było nowe ukonstytuowanie się Naczelnego Komitetu Narodowego, dokonane pod znakiem konsolidacyi wszystkich stronnictw, celem wspólnej pracy narodowej.

W skład N. K. N. weszli: Angerman Klaudyusz, Balcer Oswald, Bardel Franciszek, Biliński Leon (prezes), Bobrowski Emil, Burzyński Mieczysław, Chlamtacz Marceli, Czaykowski Władysław, Daszyński Ignacy, Dembski Aleksander, Diamand Herman, Długosz Władysław, Downarowicz Stanisław, Dydyński Stanisław, Dzieduszycki Władysław, Federowicz Jan Kanty, Garapich Michał, German Ludomir, Godlewski Włodzimierz, Habicht Ernest, Hausner Artur, Hupka Jan, Jaworski Władysław Leopold (wiceprezes), Konopka Jan, Kossobudzki Piotr, Krasicki August, Krogulski Roman, Kupczyński Tadeusz, Laskownicki Bronisław, Laskowski Kazimierz, Leo Juliusz, Lisiewicz Aleksander, Lubomirski Andrzej, Marek Zygmunt, Moraczewski Andrzej, Mycielski Edward, Ohly Ferdynand, Pawlewski Bronisław, hr. Potocki Jan, Rączkowski Józef, Sare Józef, Serwatowski Władysław, Sikorski Władysław, Śliwiński Hipolit, Słuszkiewicz Zdzisław, Sokolnicki Michał, Sredniawski Andrzej, Srokowski Konstanty, Starzewski Rudolf, Starzewski Tadeusz, Steinhaus Ignacy, Stesłowicz Władysław, Tarnowski hr. Zdzisław, Urbański Mieczysław, Wereszczyński Antoni, Witos Wincenty, Zarański Jan i Zieleniewski Edmund.



Zjazd poselski w Krakowie: Członkowie zreorganizowanego Naczelnego Komitetu Narodowego po inauguracyjnem posiedzeniu. 1) J. E. dr. Biliński, prezes Koła polskiego i N. K. N. 2) Prof. dr. W. L. Jaworski, wiceprezes N. K. N. 3) J. E. dr. Juliusz Leo. 4) Dr. Lud. German, wiceprezes Koła polskiego.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

5

To też kiedy pani Krystyna zaczęła:

— Moja Anielko, jeżeli pan Potyrowski poleca nam tę dziewczynę, jako uczciwą i pracowitą...

Potyrowski przerwał jej i wtrącił szybko:

— Ależ, pani dobrodziejko, to niekoniecznie. Ja tylko chciałem przysłużyć się paniom... Jeżeli panna Aniela obiecała, to naturalnie jej przyrzeczenie ma pierwszeństwo... W razie gdyby panie jednak odpowiedniej służącej nie znalazły, to proszę mnie zawiadomić...

Anielka była zdziwiona tą ustępliwością Potyrowskiego i trochę nawet zaniepokojona. Mimowolnie podejrzywała go zawsze o jakieś ukryte myśli. Nie podobał się on jej od pierwszego wejrzenia, a dalsza znajomość ugruntowała jeszcze tę antypatyę.

Panna, obdarzona dużą dozą sprytu i przenikliwości, przeczuwała, że Potyrowski wślizgnął się do ich domu z jakimś specyalnym planem.

W kołach, w których Anielka zawarła teraz znajomości, wyrażano się o Potyrowskim bardzo niepochlebnie, a do jego filantropijnej działalności odnoszono się z najwyższą nieufnością.

Niektórzy nazywali go wprost podejrzanem indywiduum.

Rozmowa podczas obiadu toczyła się wokół banalnych tematów konwersacyjnych. W rozmowie, jak zwykle, prym trzymał Potyrowski, okraszając ją błyskami swego dowcipu.

Przy leguminie, która, dzięki Anielce, udała się doskonale, odzyskał zupełnie humor i z właściwą sobie żywością począł opowiadać najświeższe plotki, które krążyły wśród towarzystwa polskiego w Pradze.

Anielka sama podała po obiedzie wonną, czarną kawę i doskonały francuski likier, a następnie oświadczyła, że musi wyjść z domu, ponieważ ma zajęcie w ochronce.

Na twarzy pani Krystyny ukazał się wyraz lekkiego niezadowolenia, nie protestowała jednak, przeczuwając, że byłoby to bezskutecznem.

Poznała już bowiem stanowczość siostrzenicy, odnośnie do sumiennego wykonywania przyjętych na się dobrowolnie obowiązków.

Potyrowski natomiast rad wielce, że się pozbędzie „przemądrej panniсy", której spojrzenie mieszało go i onieśmielało — wyraził w przesadnych słowach swój podziw dla szlachetnej, pełnej poświęcenia dla innych duszy panny Anieli.

— Proszę cię, Anielko, przyjdź wcześnie — wiesz, że nie lubię, jeżeli chodzisz sama wieczorem po mieście.

— Postaram się przyjść jak najwcześniej, ciociu.

Koncewicz, który się straszliwie nudził, postanowił skorzystać z tej sposobności, aby się uwolnić od „pańszczyzny" i wyraził swą chęć odprowadzenia Anielki.

Potyrowski został sam na sam z panią Krystyną.

Pani Wolska, zirytowana przeprawą ze służącą i podrażniona tem, co nazywała „kaprysami" Anielki, była w usposobieniu melancholijnem i miała ochotę zwierzyć się przed kimś i użalić.

Rozpieszczona przez los i ludzi, żywo odczuwała każdą, choćby drobnostkową przykrość codziennego życia.

Jeżeli zdarzyło się jej coś, co mąciło lub krzywiło pogodną linię jej życia, świat wówczas przedstawiał się pani Krystynie w barwach beznadziejnie czarnych.

Na szczęście takie pesymistyczne nastroje mijały równie szybko, jak niespodzianie się zjawiały.

Najlepszem lekarstwem w tym wypadku była możność wypowiedzenia się przed kimś, ktoby „zrozumiał" i „odczuł" powody owego napadu melancholii.

Nieraz na tem tle dochodziło do poważnych scyssyi pomiędzy panią Krystyną, a jej nieboszczykiem mężem, ponieważ Wolski nie miał najmniejszego zrozumienia dla takich podrażnień nerwowych i nazywał je poprostu „muchami w nosie".

Potyrowski z wrodzonym sobie sprytem odczuł dzisiejsze usposobienie wdowy i nastroił rozmowę na odpowiedni melancholijno-sentymentalny ton.

Przysunął swój fotelik nieco bliżej ku kanapie, na której siedziała pani Krystyna, pochylił się lekko i modulując umiejętnie głos, zapytał:

— Pani dzisiaj taka blada i... smutna... Gdyby mi wolno było zapytać, co jest powodem tego smutku... Czy może jaka przykrość?...

Pytanie to, wypowiedziane głosem miękkim, jakby rozmarzonym, w tonie najwyższego współczucia i zainteresowania, nie chybiło celu.

Pani Krystyna uczuła chęć ulżenia swemu sercu przez rozmowę z tym człowiekiem, który wydawał się jej niezwykle subtelnym i wrażliwym.

Poczęła opowiadać o swoich kłopotach gospodarskich i „fantazych" Anielki, uskarżając się na swoją dolę samotnej kobiety...

Te zwierzenia działały uspokajająco na podrażnione nerwy pani Wolskiej...

Potyrowski umiał tak doskonale słuchać! Nie przerywał prawie wcale, kiedy niekiedy tylko wtrącał jakieś słówko, świadczące, żo słucha, pojmuje, rozumie, współczuje...

— Cóż to za miły człowiek! — przebiegła pani Krystynie przez głowę myśl.

Potyrowski istotnie łowił chciwie uchem każde słowo zwierzeń zdenerwowanej kobiety. Po raz pierwszy mógł tak długo i poufnie rozmawiać z panią Krystyną. Tem samem wchodził w rolę przyjaciela, powiernika, co było wielkim krokiem naprzód w uplanowanej kampanii o rękej bogatej wdowy.

Ze specyalnem zainteresowaniem słuchał wszystkiego, co pani Krystyna mówiła o Anielce. Kiedy zaś dowiedział się, że „Anielka nabiła sobie głowę jakimś ślusarzem i nie chce słyszeć o żadnym porządnym konkurencie", drgnął żywo.

To była dla niego bardzo ważna wiadomość!

Potyrowski był nazbyt sprytnym, aby się nie domyślił, że pani Krystyna przesadza. Poznał już na tyle Anielkę, że uważał to za niemożliwe, aby ona mogła zająć się prostym rzemieślnikiem bez inteligencyi i wykształcenia, za jakiego uważała pani Krystyna wybranego siostrzenicy. Z opowiadania pani Wolskiej wynikało jasno, że nie zna tego młodzieńca i nie wie nawet, jak on się nazywa.

Potyrowski patrzył na tę kwestyę ze zgoła odmiennego punktu, aniżeli pani Krystyna. W jego interesie leżało właśnie, aby Anielka wyszła za mąż, za kogoś, ktoby nie żądał wielkiego posagu.

Taki zakochany młodzieniec, stojący poza sferą szlachecko-obywatelską, w której przywykła obracać się pani Wolska, wydawał mu się zupełnie odpowiednią partyą.

Przytem nadarzała się tu jedyna w swoim rodzaju sposobność, aby zjednać sobie Anielkę, której Potyrowski w głębi ducha obawiał się, choć sam nie chciał tego przyznać przed sobą.

Na skargi pani Krystyny odpowiedział więc pytaniem:

— A jeżeli panna Aniela go kocha?

— Ach! kocha! kocha!... — wykrzyżła ramionami niecierpliwie pani Krystyna — Dziecinada! To nie mąż dla niej i koniec!

— Nie, pani dobrodziejko! Miłość to nie dziecinada! „Serce nie sługa, nie zna co to pany", powiada stara piosnka... Ja już do młodzików zaliczyć się nie mogę, a jednakże...

Urwał, przysunął się jeszcze bliżej ku pani Krystynie i wymowne, palące spojrzenie zatopił w jej twarzy.

Oczy jego mówiły to, czego nie dopowiedział słowami.

Pani Krystyna zmieszała się, zrobiło się jej nagle bardzo gorąco; odsunęła się więc od Potyrowskiego i skierowała pospiesznie rozmowę znowu na Anielkę.

— Wychowałam tę dziewczynę od małego dziecka... Jest to córka mojego jedynego, ukochanego brata, który umarł młodo, pozostawiając tę sierotkę... Kocham ją jak córkę i pragnę, aby zajęła odpowiednie stanowisko w towarzystwie...

— Tak! Pani dobrodziejka odnosi się do panny Anieli z uczuciem prawdziwie macierzyńskiem... Chociaż... chociaż... otwarcie przyznać muszę, dziwnie wygląda trochę taka zupełnie dorosła siostrzenica, obok tak młodej cioci... Inna kobieta na miejscu pani dobrodziejki starałaby się jak najprędzej usunąć dorosłą pannę z domu... Ale pani, zdaje się, nie posiada krzty próżności, odrobiny kokieteryi... A jednak, jeżeli się jest samej jeszcze młodą i tak powabną... — dokończył ciszej i znowu przerwał, jakby się obawiał powiedzieć za wiele.

Gra Potyrowskiego była dobrze i trafnie obliczona.

Pani Krystyna, która nieraz z trwogą spoglądała w lustro, obserwując ślady, jakie zostawiał bezlitosny, nieubłagany czas na jej ponętnej, kwitnącej twarzy, nie mogła pozostać obojętną, jeżeli jej ktoś mówił tak wyraźnie, że jest młodą, piękną, godną uwielbienia i miłości.

O powtórnem małżeństwie nie myślała właściwie dotychczas, było jej bowiem bardzo dobrze i wygodnie z wdowieńską swobodą.

Dlatego też nie miała zamiaru ośmielać Potyrowskiego zbytnio i doprowadzać go do oświadczyn. Nie budził on zresztą w niej żadnych goręszych uczuć, a chwilami odruch zdrowego rozsądku ostrzegał lekkomyślną kobietę, aby była trochę ostrożną z małoznanym jej człowiekiem.

Zachwyt Potyrowskiego pochlebiał jej próżności, utwierdzając ją w przekonaniu, że nie przeminął jeszcze dla niej czas młodości.

Nie chciała jednak, aby Potyrowski posunął się zbyt daleko i uprzedzając oświadczyny, które przeczuwała, rzekła z pewną surowością w głosie:

— Anielka jest złotem, milutkiem stworzeniem i ja ją pomimo jej wszystkich fantazyi kocham serdecznie... Naturalnie, że będę chciała wydać ją za mąż, ale nie dlatego, by jej się pozbyć z domu, tylko dla jej własnego szczęścia... O małżeństwie powtórnem nie myślałam jeszcze, a w każdym razie nie wiem, coby mi nawet w tem mogła szkodzić Anielka... No! Jeżeliby kogoś istotnie odstraszyła dorosła siostrzenica w domu, to obejdę się bardzo dobrze bez jego towarzystwa!

Potyrowski omal, że się nie skrzywił, słysząc te słowa... Poprzednio z zadowoleniem śledził wrażenie swych komplementów i ognistych spojrzeń na twarzy pani Krystyny. Zdawało mu się, że już, już nadeszła chwila stosowna do wyznania, że bogata wdowa, olśniona jego wymową, podbita uczuciem, osunie mu się w ramiona, szepcząc: „jam twoja"...

Teraz spostrzegł, że przeholował trochę i zawiódł się. Grunt nie był jeszcze dostatecznie przygotowany i trzeba było czekać...

Potyrowskiemu zależało na pośpiechu, zoryentował się jednak, że natarczywością może zepsuć sprawę...

— Trudno, poczekam, aż nadejdzie odpowiedni moment „psychologiczny" — uśmiechnął się wewnętrznie — Broni się jeszcze, ale biorę ją...

Postanowił też zaraz naprawić swoje nierozważne słowa i z nieporównaną zręcznością zawrócił z miejsca.

Począł wychwalać pod niebiosy Anielkę, przeplatając te pochwały podziwem dla szlachetności i dobroci jej opiekunki. — Zaznaczył, że mówiąc o dorosłej pannie w domu, miał na myśli inne kobiety przeciętne, próżne, których nie śmiałby nawet porównywać z panią Wolską... Ona przecież taka różna od innych...

W komplementach jednakże zachowywał teraz pewną miarę, wypowiadał je w sposób bardziej dyskretny, tak, że pani Krystyna nic mu zarzucić nie mogła...

Nie przedłużał też zbytnio swej wizyty i porozmawiawszy jeszcze pół godziny, począł się żegnać, tłumacząc się, że jego „biedacy" czekają na niego...

To zręczne napomknięcie o biedakach przypomniało pani Krystynie filantropijną działalność Potyrowskiego i pobudziło jej impulsywną naturę do natychmiastowego czynu.

— Ach! Ja wtedy „pod Łabędziem" dałam tak mało dla tej biednej rodziny, którą się pan opiekuje... Nie miałam wówczas więcej przy sobie... Proszę, bardzo proszę, wręczyć tym biednym ludziom jeszcze te kilka koron...

I znowu szeleszczący banknot przeszedł z białej rączki pani Krystyny do portfelu Potyrowskiego.

Potyrowski wyszedł, żegnany serdecznie przez gospodynię, przyczem otrzymał przyrzeczenie, że najzajutrz spotkają się znowu na podwieczorku „pod Łabędziem".

Kiedy za gościem zamknęły się drzwi, pani Krystyna długą chwilę stała zadumana i nieco rozmarzona...

Myślała o tem, że Potyrowski to jednakowoż człowiek bardzo rozumny i elegancki, niezmiernie sympatyczny, niezwykle miły...

Pani Krystyna wprawdzie nie patrzyła na niego dotychczas jako na konkurenta, nie myślała wogóle o małżeństwie, ale teraz poczęły się jej snuć jakieś dziwne myśli... Może... może...

— Kocha się, jak młodzieniec — uśmiechnęła się do siebie pani Krystyna — ale nie śmie tego wypowiedzieć... Jaki on delikatny... Nie trzeba go jednak zanadto ośmielać... Znam go za mało jeszcze, zresztą....

Te miłe rozważania przerwała pani Krystynie Marysia, która hałaśliwie stukając bucikami o podłogę, weszła do pokoju:

— To ja już moje rzeczy spakowałam i proszę panią o książeczkę i pieniądze!... Jak mi pami wymówiła „poszadę", to ja się przecież prosiła nie będę!

Pani Krystyna, wyrwana tak brutalnie z koła swych marzeń, zawrzała znowu gniewem:

— Ruszaj do kuchni! Dostaniesz zaraz twoją książeczkę i pieniądze, a potem wynoś mi się, żebym cię już więcej nie widziała!

Marysia powolnie, flegmatycznie wyszła, mówiąc:

— Ta idę, już idę! Ojej wielkie mi rzeczy służba!

Pani Krystyna z Anielką rozpoczęły nazajutrz od samego rana poszukiwania za służącą. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą, jak się początkowo Anielce zdawało.

Wprawdzie dziewcząt bez zajęcia, pobierających zapomogę rządową i korzystających z rozmaitych dodatkowych zasiłków ofiarności publicznej było dosyć, nie kwapiły się one wszakże do objęcia służby.

Jedna pytała panią Wolską, czy bieliznę pierze się w domu, a następnie oświadczyła:

— Ja z praniem nie mogę! Ja do prania nienauczona, u moich państwa zawsze się bieliznę dawało do pralni.

Druga zastrzegała się, że podłóg froterować nie będzie, bo jej to szkodzi, inna jeszcze stawiała tak drobiazgowe wymagania co do trybu życia domowego, że pani Krystyna rzekła zniecierpliwiona:

— Moja kochana, przecież ja prowadzenia mego domu nie będę stosowała do ciebie!

Nareszcie zdawało się, że już dojdzie do skutku umowa z młodą, ładną dziewczyną, silną brunetką, która w wymaganiach swoich okazywała się nieco skromniejsza, aniżeli jej koleżanki.

Pani Krystyna sięgała już do portmonetki po zadatek, kiedy nagle kandydatka na służącą zapytała:

— Ale pan jest w domu, proszę pani?

— Nie, ja jestem wdową...

— A to ja, proszę pani, nie służę w takim domu, gdzie niema pana...

To już dopełniło miary irytacyi i zniecierpliwienia pani Krystyny. Oświadczyła Anielce, że dłużej służącej szukać nie myśli, lecz napisze do Potyrowskiego, aby jej przysłał swoją protegowaną...

— Mogłam sobie oszczędzić trudu chodzenia po stowarzyszeniach i prowadzenia takich miłych rozmów! Uległam twojemu kaprysowi i dużo mi z tego przyszło! Wołacie wszyscy: wojna! wojna! Wszystko powinno się zmienić! Popatrzże się na te wszystkie dziewczęta, z którymi mówiłyśmy. Czy wojna nauczyła je czego, czy zmieniła je? Chyba na gorsze!

Anielka była zmartwiona wynikiem poszukiwań i z zakłopotaną minką próbowała ciotce tłumaczyć...

— To przypadek, ciociu! Trafiłyśmy na jakieś specyalnie zepsute i rozpróżniaczone dziewczęta. Przecież nie wszystkie są takie!

— Wszystko mi jedno! Dość mam tego! Biorę tę dziewczynę, którą poleca Potyrowski!

Anielka nie chciała jej dłużej oponować, nie mogła jednak zapanować nad sobą, aby nie zdradzić swego niezadowolenia.

— Tak! Naturalnie, krzywisz się! Jeżeli tylko Potyrowski coś powie, to już ci się nie podoba! A on cię wychwala, podziela twoje zapatrywania, nawet takie, na które ja się nie godzę. O Koncewiczu naprzykład mówił zupełnie w ten sam sposób, jak ty poprzednio.

Anielka spojrzała żywo na ciotkę.

— Tak? A ciocia nie domyśla się, dlaczego on jest niechętny Koncewiczowi?

— Nie.

— Bo on widzi, że Koncewicz goni za posagiem... Obawia się więc, żeby...

Anielka urwała nagle, przestraszona tem, co chciała powiedzieć. Zlękła się, że może obrazić ciotkę.

— No, proszę cię dokończ!

— E! Nic, ciociu nic... Ja tylko tak sobie powiedziałam...

— A to co znowu za wykręty? Mów, coś miała powiedzieć!

— Ale ciocia się nie pogniewa na mnie, dobrze, złota cioteczko...

— Nie, nie pogniewam się. Mów!

— Otóż mnie się zdaje, ale ja się zastrzegam proszę cioci, że to mnie się może tylko tak wydawać... że ten pan Potyrowski boi się, aby ciocia nie dała mi dużo pieniędzy, bo toby nie dogadzało jego własnym planom...

Słowa Anielki zrobiły na ciotce zupełnie inne wrażenie, aniżeli się spodziewała.

— To i ty zauważyłaś, że Potyrowski we mnie... o mnie...

— Trzeba ślepym być, żeby tego nie widzieć...

— Moje dziecko, ty doprawdy masz do pana Potyrowskiego niesłuszne uprzedzenie. Więc ty sądzisz, że mnie można pokochać tylko dla pieniędzy?...

— Ach! Ciociu, jakże mnie ciocia może nawet posądzać o podobną myśl! Tylko ten Potyrowski...

— Nie znasz go, Anielko. To bardzo szlachetny charakter.

Wobec tak stanowczego sądu Anielka uznała, że należy przemilczeć swoje podejrzenia, dalsza bowiem krytyka Potyrowskiego byłaby brakiem uszanowania dla ciotki.

Panience przykro było, że tak wstrętny dla niej człowiek roztoczył sieć swoich wpływów wokół jej ukochanej opiekunki, nie mogła jednakże, nie śmiała wypowiedzieć tego głośno.

— Przecież ciocia nie dziecko — myślała — i ja nie mogę dawać jej nauk. Potyrowski sam się zdradzi prędzej czy później, a wówczas ciocia przekona się, co to za ptaszek.

Jeszcze tego samego wieczora objęła Wikcia Pasternak służbę u pani Wolskiej.

Anielka od pierwszego wejrzenia poczuła żywiołową antypatyę do tej wyfiokowanej dziewczyny, o bezczelnym wyrazie twarzy.

Pani Krystyna natomiast była bardzo zadowolona, ponieważ Wikcia, zachwycona dostatkiem, panującym w domu, dobrą pensyą i ładnym, prawie zupełnie nowym kostyumem, który jej pani odrazu „na zachętę" podarowała, zachowywała się bardzo pokornie i nadskakująco.

ROZDZIAŁ VI.

— Stasiu, czyś gotowa? Spiesz się, bo się spóźnimy na dyżur!

— Zaraz, zaraz!

Stasia Staszyńska nakładała przed lustrem kapelusz na swoje złote, misternie ufryzowane loki. Czyniła to jednak bardzo powoli, jakby ociągając się umyślnie. Rzucała przytem co chwila niecierpliwe, wyczekujące spojrzenia w kierunku drzwi.

— Stasiu, prędzej trochę! Pani Winnicka prosiła bardzo, żeby przyjść punktualnie, bo ona ma dzisiaj czas tylko do czwartej godziny.

Stasia nerwowym ruchem ręki szarpnęła zegarek z za paska i spojrzała nań. Drobne jej różowe wargi zacisnęły się kurczowo, jakby ściągnięte jakimś spazmem wewnętrznym, ręce jej drżały tak silnie, że nie mogła wepchnąć szpilki do kapelusza.

Hanka obserwowała siostrę smutnym, poważnym wzrokiem. Widziała jej zdenerwowanie, a odgadując widocznie myśli, zaczęła wahającym nieco tonem:

— Na Montwiłła nie mamy co czekać! Obiecał wprawdzie przyjść po nas, ale jeżeli go do tej pory niema, to pewnie nie przyjdzie. Wiesz, że jest bardzo punktualny. Prawdopodobnie poszedł sam do „kuchni" i już tam objął kasę.

— Naturalnie — syknęła przez zaciśnięte zęby Stasia — musiał przecież odprowadzić piękną Anielkę z ochronki!

Hanka milczała, a na białem jej czole ukazała się głęboka zmarszczka. Rozumiała siostrę, do której była serdecznie przywiązana, lepiej niż ktokolwiek inny.

Sama kochała raz w życiu, jako młodziutka jeszcze zupełnie dziewczynka w krótkiej sukience, z długim warkoczem opadającym na plecy. Przeszła bolesne doświadczenie. Ten pierwszy zawód miłosny zwarzył jej najpiękniejsze dni wiośniane i pozostawił niezatarte ślady zarówno na jej powierzchowności, jak i duchowem usposobieniu.

Młodość jej przyćmiona, zgaszona cierpieniem przytaiła się i spoglądała na świat i ludzi spojrzeniem poważnem nad wiek, smutnem choć spokojnem.

Stasia trzpiotowata, wesoła ślizgała się dotychczas po powierzchni uczuć — lubiła wszystkich chłopców potrosze, a żadnego specyalnie i drwiła sobie z najwięcej lubianych. Miała kilka razy sposobność, aby wyjść za mąż, nie mogła się jednak jakoś zdecydować. Lubiła swój zawód nauczycielski, ceniła swobodę i niezależność panieńską i jak sama śmiejąc się mówiła, nie chciała się sprzeniewierzyć wszystkim dla jednego.

Przy takiem usposobieniu dobiegła lat dwudziestu pięciu, zachowując swoją świeżą, różową cerę, dziecinne spojrzenie ślicznych niebieskich oczu, żywość ruchów podlotka i niezamąconą pogodę umysłu.

W Pradze poznały panny Staszyńskie Montwiłła, o którym słyszały już poprzednio, jako o koledze uniwersyteckim brata.

Hanka spostrzegła odrazu, że piękny młodzieniec zrobił na jej siostrze silne wrażenie.

Stasia zachowywała się wobec Montwiłła zupełnie inaczej, aniżeli wobec wszystkich dotychczas znanych jej młodych ludzi.

Hanka poprostu nie poznawała jej. Stasia tak śmiała zawsze i rezolutna, w towarzystwie mężczyzn drwiąca i uszczypliwa, przeistaczała się zupełnie w obecności Montwiłła, tak, że trzeba było patrząc na nią w takiej chwili, przypominać sobie, że to istotnie ta sama Stasia, która słynęła w kołach znajomych jako panna „z ostrym języczkiem".

Jeżeli Montwiłł opowiadał coś, to wtedy Stasia milkła i wbrew zwyczajowi swemu, nie przerywając ni słowem, promiennym wzokiem zdawała się pochwytywać każde słowo z ust mówiącego.

Stasia, rozpieszczona przez matkę i siostrę, faworyzowana przez krewnych i znajomych z powodu swej urody i wesołości, miała usposobienie trochę despotyczne i kapryśne.

Adoratorów swoich tyranizowała poprostu.

Wszystko to znikło bez śladu w stosunku do Montwiłła.

Każde życzenie Montwiłła było dla niej rozkazem, podzielała jego poglądy, zapatrywania, godziła się bez zastrzeżeń na jego sądy o ludziach.

Jasnem też wkrótce stało się dla Hanki, że siostra jej zakochała się w Montwille szalenie, ślepo, bez upamiętania.

Montwiłł zrazu zdradzał wielkie zainteresowanie się Stasią i znajdował szczere upodobanie w jej towarzystwie.

Hanka cieszyła się więc myślą, że siostra będzie szczęśliwszą od niej. Przytem jako nie kochana rozpatrywała tę rzecz także z praktyczniejszego punktu widzenia.

Stasia miała już lat dwadzieścia pięć, a Montwiłł był młodzieńcem wykształconym — z przyszłością, był synem wielce poważanej i zamożnej rodziny z Lubelskiego — pod każdym więc względem stanowił pożądaną „partyę".

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, dopóki w Pradze nie pojawiła się Anielka Żurakowska. Wówczas Montwiłł zmienił się nagle. Od Stasi odsunął się, nie odprowadzał jej do domu, tak jak to dawniej bywało, nie towarzyszył na wycieczkach i spacerach, natomiast wyczekiwał nieraz całemi godzinami na ulicy na zimnie, aby spotkać Anielkę i zamienić z nią słów kilka.

Jeżeli Anielka była w towarzystwie, to inne kobiety nie istniały dla niego. Widział i słyszał tylko ją jedną.

Było to tak wyraźne, że wszyscy zwrócili na to uwagę oprócz samej Anielki, która zaprzątnięta własnemi myślami, nie podejrzywała nawet, jak gorące uczucia wzbudziła w sercu młodzieńca.

Lubiła Montwiłła, podobała się jej jego ujmująca powierzchowność — uważała go też za człowieka rozumnego i sympatycznego, ale po za tem nie analizowała zupełnie jego zachowania się i nie zastanawiała się, czy i jakie uczucia wzbudzić w nim mogła.

Nie myślała o tem poprostu.

Montwiłł postarał się, aby go przedstawiono ciotce Anielki, a później, jak się dowiedziała Stasia, złożył wizytę pani Wolskiej.

Hanka miała szczerą sympatyę dla Anielki, w duchu jednak przeklinała swój pomysł wciągnięcia jej w szeregi pracowniczek „taniej kuchni".

Wprawdzie Anielka spełniała swoje obowiązki bardzo sumiennie i dokładnie i okazała się w „kuchni" bardzo pożyteczną — dawało to jednakowoż Montwiłłowi sposobność do częstego widywania się z Anielką.

Hanka podniosła na siostrę oczy i rzekła:

— Anielka nie myśli wcale o Montwille! Ona prawdziwie i stale kocha się w Kazimierzu Walczaku. Wiesz przecie, jak się trwoży, jak martwi, bo już tak dawno nie miała wiadomości od niego.

— Ale to jej nie przeszkadza kokietować Montwiłła! — wybuchnęła Stasia.

— Nie kokietuje go. Anielka wogóle kokietką nigdy nie była, a tem bardziej nie jest nią teraz. Rozmawia z Montwiłłem, lubi go, bo przyznasz sama Stasiu, że trudno go nie lubić — Hanka uśmiechnęła się lekko — ale i na tem koniec! Sądzę, że Montwiłł spostrzeże to wkrótce i obojętności Anielki nie pokona!

Ale Stasia nie chciała przyznać słuszności rozsądnym słowom siostry. I z uporem i zawziętością zakochanej kobiety chciała całą winę zwalić na rywalkę.

Przypuszczenie, że Montwiłł kocha się w Anielce bez żadnej z jej strony podniety i zachęty, raniło boleśnie miłość własną Stasi.

Nie chciała w to wierzyć i uparcie powtarzała, szarpiąc nerwowo trzymane w ręku rękawiczki:

— A ja ci powiadam, że go kokietuje bezczelnie! Oho ty jej nie znasz! To faryzeuszka, świętoszka z niewinną minką!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy namiestnik Galicyi.

Opróżnione stanowisko po zmarłym jen. Colardzie zajął wojskowy generał-gubernator dla austryacko-węgierskich obszarów, okupowanych w Polsce, generał-major Eryk baron Diller.

Te same motywy, jakie swego czasu doprowadziły do powierzenia administracyi Galicyi generałowi piechoty Colardowi, zadecydowały także i teraz przy powierzeniu tego stanowiska osobistości o wysokiej randze wojskowej.



Nowy namiestnik Galicyi: Generał-major Eryk baron Diller.



Czwartacy: Komendant Legionów gen. Puchalski dekoruje odznaczonych Czwartaków.

Bar. Eryk Diller, urodzony w roku 1859 w Wiedniu, z początku poświęcił się studyom prawniczym i wstąpił do służby administracyjnej w Morawii, gdzie pozostawał cztery lata i zdał praktyczny egzamin z politycznej administracyi. Później poświęcił się bar. Diller karyerze wojskowej i w roku 1889 wcielony został do zawodowego korpusu oficerskiego. Po ukończeniu szkoły wojennej, przydzielony do sztabu generalnego, należał potem do pułku dragonów Nr. 7, aż w roku 1909 został zamianowany komendantem pułku ułanów Nr. 3.

W roku 1913 został bar. Diller zamianowany komendantem 16 brygady kawaleryi i generał-majorem. W maju 1915 roku nastąpiło prowizoryczne powierzenie mu agend wojskowego gubernatora w Kielcach, a w sierpniu tegoż roku zamianowano go wojskowym gubernatorem w austro-węgierskiej okupacyi w Polsce. Ma on godność tajnego radcy i jest właścicielem wojskowego krzyża zasługi, tudzież kawalerem orderu żelaznej Korony III. klasy z dekoracyą wojenną.

Gen. Diller urzędował od blizko 7 miesięcy w Królestwie, ostatnio w Lublinie. Generał Diller odznaczał się życzliwością dla mieszkańców Królestwa, starając się w krótkim czasie swego urzędowania poznać tamtejsze stosunki i potrzeby.

Stanowisko wybitne podczas urzędowania gen. Dillera zajęli przeważnie urzędnicy, znający prze-



Z działalności humanitarnej „Czerwonego Krzyża": Komitet Czerwonego Krzyża w Kołomyi.





Pułkownik Roja (X) odbiera raport pułkowy. **Czwartacy:** Nad grobem Czwartaka w polu.



Legiony w polu: Partya szachów w ziemiance oddziału telefonicznego.

dewszystkiem język polski i stosunki krajowe. Gen. Diller włada językiem polskim, a w ciągu swego urzędowania w Królestwie Polskiem zdołał zaskarbić sobie swą sprawiedliwością i życzliwością ogólny szacunek i uznanie tamtejszej, tak ciężko dotkniętej ludności. Nie ulega też wątpliwości, że i żywotne interesy Galicyi, oczekujące dotychczas pomyślnego załatwienia, znajdą w nim życzliwego rzecznika.

Gen. Diller, który pozostawił po sobie tak sympatyczne wspomnienie w Królestwie Polskiem, zdoła z pewnością i na nowem, tak odpowiedzialnem stanowisku, połączyć interesy państwa z słusznemi życzeniami ludności galicyjskiej, która największe w obecnej wojnie poniosła oflary.

Z działalności humanitarnej w Galicyi.

Z dniem 1. września 1914 r. ustąpiła z miasta Kołomyi cała załoga wojskowa. — Ranni, przywiezieni z pod Halicza i rozmieszczeni w kilku szpitalach wojskowych, pozostali bez opieki. Wówczas zawiązał się Komitet obywatelski i objął urządzony w gmachu gimnazyalnym szpital w swój zarząd, zwiózł tam rannych żołnierzy i zaopiekował się nimi. — Nie mając żadnych funduszów, zbierał pieniądze drogą składek publicznych, tudzież darów w naturze. — Dnia 15. września 1914 r. po bitwie pod miastem wkroczyli Rosyanie i uznali szpital ten, tudzież Komitet, jako instytucyę „Czerwonego Krzyża". Z potyczki tej przywieziono kilkudziesięciu rannych. — W czasie pięciomiesięcznej inwazyi, szpital ten był bez przerwy czynnym, dając schronienie i opiekę lekarską rannym, przeważnie austryackim żołnierzom, gdyż Rosyanie wysyłali swoich bezzwłocznie za granicę. a tylko ciężko rannych umieszczali w tym szpitalu.



Czwartacy: Komendant czwartego pułku Legionów polskich, pułkownik Roja.

Przez cały ten czas, aż do dnia 15. marca 1915 r. t. j. czasu objęcia szpitala przez wojskowość, znalazło tu umieszczenie przeszło dwa tysiące chorych i rannych żołnierzy, a w liczbie tej zaledwie stu rosyjskich. Służbę lekarską pełniło trzech lekarzy cywilnych, z których jeden stale mieszkał w szpitalu.

Zarząd kuchni, gotowanie, zarząd pościelą i bielizną, szycie i jej naprawa, tudzież pielęgnowanie chorych na dwudziestu salach w dzień i w nocy



Czwartacy: W okopach czwartego pułku Legionów Polskich.



Chrzest małego Wołyniaka w szpitalu wojskowym w Michajłówce



Na wschodnim froncie: Szpital wojskowy w synagodze i szkole żydowskiej w Michajłówce na Wołyniu.

załatwiały panie komitetowe i pielęgniarki z pośród inteligencyi miejscowej wspólnie z zakonnicami, zupełnie bezpłatnie.

Tylko najgrubsze roboty, jak pranie bielizny i mycie podłóg, były wynagradzane. Komitet położył następujące zasługi: 1. Umieszczał rannych żołnierzy austryackich w szpitalu austryackim podczas inwazyi rosyjskiej, opiekował się nimi i skierował dobroczynność publiczną na najwłaściwszą drogę; 2. uratował od zniszczenia wojskowe urządzenia szpitalne, zająwszy je na cel przeznaczenia; 3. uratował od inwazyi i rabunku oba budynki gimnazyalne, tudzież drogie zbiory muzealne i biblioteczne; 4. zgromadził chętne do pracy patryotycznej panie i dał im możność wyszkolenia się w ofiarnej



Czwartacy: Kapelan czwartego pułku Legionów polskich ksiądz Konopka.

służbie pielęgniarskiej, — to też wszystkie prawie są obecnie zajęte w szpitalach wojskowych, jako siły najlepsze.



Legiony w polu. Nad świeżą mogiłą

Czwartacy.

Na kartach dziejów oręża polskiego zapisał się już chlubnie czwarty pułk Legionów polskich. Jedna z późniejszych formacyi Legionowych, Czwartacy, pod wodzą nieustraszonego komendanta Roji, godnie dzierżą sztandar swych poprzedników i podtrzymują ich bohaterskie tradycye. Długą jest już lista walk i bitew, w których Czwartacy okryli się sławą. Nie czas jednak jeszcze na pisanie historyi. Niepodobna również wymienić wszystkich żołnierzy i oficerów, którzy są chlubą tego pułku, bo wszyscy walczą jak... Czwartacy... Należy jednak zaznaczyć, że cały pułk nowych Czwartaków może być dumny ze swego komendanta. Wsławiony w bojach karpackich, pułkownik Roja wszystkim swym podkomendnym świeci przykładem nieustraszonego męstwa. Teraz właśnie powrócił znowu na front po



Na wschodnim froncie: Pogrzeb żołnierza na Wołyniu.



Legiony w polu: Cmentarz poległych Legionistów.

miesięcznej kuracyi w Krakowie z rany, którą otrzymał w śmiałej wyprawie, jakby wyjętej z Sienkiewiczowskiego „Potopu“. Pułkownik Roja z garstką śmiałków, celem zbadania pozycyi nieprzyjacielskich, przedarł się przez zasieki i dotarł aż do rowów rosyjskich.

Tę brawurową wyprawę przypłacił ciężką raną, która na szczęście prędko się zagoiła i dziś już dzielny komendant stanął na czele swego pułku, aby prowadzić go dalej do bohaterskich czynów.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobiznę pułkownika Roji oraz szereg illustracyi z czwartego pułku Legionów w polu.

Z żałobnej karty.

Księga strat zanotowała nową ofiarę. Szkoda każdego młodego życia, przedwcześnie ginącego,



Z żałobnej karty: S. p. dr. Kazimierz Bereżyński

stokroć większa szkoda, gdy ginie ono w narodzie polskim; szkoda każdego umysłu kierowniczego w dziedzinie myśli i czynu, stokroć większa, gdy umysł ten idzie zawsze pod hasłem: według najlepszych sił dla dobra narodu. To też zgon ś. p. dra Kazimierza Bereżyńskiego daje odczucie tej właśnie wielkiej straty, gdyż przedwcześnie zmarły dał się już poznać jako pionier myśli, w których błyskał „nowy duch i forma nowa“.

Miał lat 28, gdy go zaskoczyła śmierć, stawał więc dopiero u progu czynu, a jednak mimo tak krótkiego życia pozostawił już poważny dorobek literacki. Uzyskawszy stopień doktora filozofii w uniwersytecie krakowskim, pracował przez pewien czas jako nauczyciel gimnazyalny, poczem oddał się działalności literackiej i z tego okresu pochodzą pierwsze jego prace w poważnym stylu. Tutaj należy rozprawa o „Filozofii Cypryana Norwida“, drukowana w „Sfinksie“, a później w osobnem wydaniu, oraz studyum estetyczne p. t.: „Wspomnienia o sztuce“, zamieszczone w „Rydwanie“. Należąc do składu redakcyi tego pisma, zabłysnął ś. p. dr. Bereżyński swymi poematami satyrycznymi o głębokich ujęciach, ścigającymi bezwzględnie dorobkiewiczostwo i zarozumiałość rubaszną w świecie politycznym, oparte na ubóstwie umysłowem.

Wobec rozwoju ruchu strzeleckiego, ś. p. Bereżyński wstąpił do szeregów, pomimo nurtującej już choroby piersiowej, a gdy wybuchła wojna, wyruszył w pole. Trudy kampanii silnie podkopały nadwątlone już zdrowie, to też w stopniu podchorążego Legionów musiał opuścić szeregi. Podleczywszy się trochę, wstąpił w Krakowie do redakcyi „Illustrowanego Tygodnika Polskiego“ i, po ustąpieniu Lucyana Rydla z kierownictwa, redagował to pismo. Ostatnio pracował w Centralnem Biurze Wydawnictw N. K. N. jako referent literacki i tutaj też zaskoczyła go śmierć.

Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziło Zmarłego grono Jego przyjaciół i kolegów. Wzruszającem było przemówienie nad grobem sędziwego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, dra. M. Straszewskiego, który przyszedł pożegnać swego dawnego ucznia i zasłużonego wiceprezesa Koła filozoficznego U. U. J., w gorących słowach omówił Jego dotychczasową działalność i szlachetne plany na przyszłość i z rozrzewnieniem przedstawił stratę, poniesioną przez ten zgon przedwczesny.

W spuściznie literackiej po Zmarłym pozostał szereg utworów poetyckich i prozą, szkice literackie, oraz z zakresu filozofii. Wszystkie te prace wyjdą w osobnem wydaniu pośmiertnem. *(gi)*



Z Królestwa Polskiego: Grupa rodzin Legionistów, oczekujących wypłaty zasiłków wojskowych w Noworadomsku.



Z Królestwa Polskiego: Chorąży Legionów Gramczakiewicz (X) wypłaca w Noworadomsku zasiłki wojskowe dla rodzin Legionistów.

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

4

— To doskonale. Musi mi je pan przynieść niezwłocznie. Znajdziemy tam, jak przypuszczam, wskazówki, tyczące się pana Louviers i innych świadków.

Pobiegłem natychmiast do mojego mieszkania i po pół godziny powróciłem do gabinetu pana Parpaing, obciążony pliką starych dzienników. Usiedliśmy przy biurku i zajęliśmy się staramnem ich sortowaniem. Po dobrej godzinie takiej pracy mogliśmy zestawić w następujący sposób treść odnośnych artykułów sądowego sprawozdania z krótką charakterystyką osób, biorących w nim udział.

— „Tajemniczy dramat“. Hypoteza, iż przyczyna podwójnej, tragicznej śmierci państwa Fontaine jest zrodzona na podstawie romantycznej, oparta jest na znalezieniu w buduarze pani Fontaine zmiętego i podartego telegramu, rzuconego w kąt pokoju. Datowany z wtorku, to jest na dzień przed fatalną nocą, opiewał tylko w te słowa: „Mänana — jutro“. Ojciec mój miał powrócić dopiero z końcem tygodnia. Wystarczyło to sędziom, aby z tego jednego słowa wysnuli przypuszczenie, że moja matka wyznaczyła komuś tajemną schadzkę.

Pan Parpaing jednak telegramowi temu przyznawał inne, prawdopodobniejsze znaczenie. Nieznanym korespondentem mojej matki, wyrażającym się w języku hiszpańskim, był Miguel Lopez, były jej narzeczony. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nędznik ten zachował jakieś listy z czasów znajomości z moją matką i teraz niegodnie chciał je wyzyskać dla siebie, czyniąc z nich szantaż. To jedno słowo „jutro“ potwierdzić mogło te przypuszczenia. Brzmiało ono jako rozkaz lub groźba, lub też przypomnienie naglącego terminu.

„Manuela“. Akta dowiodły, że dziewczyna ta była tego samego co don Lopez pochodzenia. Milczenie jej uporczywe w czasie badania zdradzało wspólnictwo w zbrodni.

„Louviers“. Zachowanie się tego człowieka przed całą sprawą, jak również podczas trwania procesu, jest bez zarzutu. Zbrodnia odkrytą została we czwartek rano. Tego samego dnia o zwykłej porze kasyer przybył do biura. Nie zauważono w nim żadnej zmiany. Dopiero na wiadomość o nieszczęściu, okazał bardzo silne wzruszenie i zgnębienie, które zwróciło uwagę otoczenia.

Proszony o przejrzenie kasy, zbladł silnie, zmieszał się, urywanemi słowami opowiedział fakt nieprawdopodobny. Tylko ojciec mój i on mieli przystęp do kasy, każdy z nich posiadał klucz własny.

Otóż klucz mojego ojca, noszony zawsze przez niego w kieszeni, nie został znaleziony. Otóż Louviers utrzymywał, że klucz swój na żądanie mojego ojca wręczył mu wieczorem dnia poprzedniego.

W ten sposób obydwa klucze zniknęły w sposób niewytłomaczony. Jeden może zgubiony przez mojego ojca, drugi zabrany przez mordercę.

Po otwarciu kasy skonstatowano, że brakuje w niej poważnej sumy pieniężnej. Sędzia, nie zwracając uwagi na tłumaczenie pana Louviers, obwinia go kategorycznie o współudział w zbrodni i kradzieży i aresztuje go.

Śledztwo, wytoczone przeciw niemu, wykazuje z prywatnego jego życia fakta następujące: Louviers, wzorowy urzędnik, nie mający dotąd żadnego dochodzenia dyscyplinarnego, wiódł razem ze swoją starą piastunką i ukochaną córeczką życie ciche i bez zarzutu. Opinia ta brzmiała jednogłośnie, tak wśród kolegów jego biurowych, jak i bliższych i dalszych znajomych. Na opędzenie skromnych wydatków domowych nie użytkował nigdy całej swojej miesięcznej płacy. Dzięki temu mógł corocznie dokładać pewną sumkę do niewielkiej schedy rodzinnej, która w ostatnim roku doszła do trzydziestu pięciu tysięcy franków.

Ale w styczności z tą sumą, o której zresztą wiedzieli wszyscy, uczynionem zostało dosyć niepokojące spostrzeżenie. W poniedziałek wydał Louviers rozkaz ajentowi, trudniącemu się wymianą pieniędzy, zrealizowania wszystkich jego wartościowych papierów i we wtorek rano, otrzymawszy pełną sumę trzydzieści pięć tysięcy franków, w żaden sposób nie chciał odkryć przyczyny tej nagłej decyzyi. Na naglące zapytania sędziego, na jaki cel przeznaczał te pieniądze, odpowiedział kategorycznie, że nic w tym kierunku nie myśli wyjawić. Naprożno sędzia próbował przełamać ten upór, wykazując, że milczenie to może go zgubić i podać w podejrzenie. Ani groźby ani żadne tłumaczenie nie potrafiły zwalczyć tego zaciętego uporu.

— Pieniądze te są moją osobistą własnością — odpowiadał niezmiennie — i mogę nimi rozporządzać do woli, nie potrzebując przed nikim zdawać z tego rachunku. Zarobiłem je uczciwą, kilkonastoletnią pracą i przysięgam na honor mój, że nie mam sobie w tym względzie nic do zarzucenia! Róbcie zresztą ze mną co chcecie, gdyby nawet chodziło o głowę moją, nie powiem nic więcej!

Cóż o tem myśleć było można? Co przypuszczać? Czy nieszczęśliwy naprawdę nie miał sobie nic do wyrzucenia? A może owe trzydzieści pięć tysięcy franków miały służyć jako punkt ochronny wobec ograbionej kasy i być podstawione, jako suma, za którą później Louviers nabył „okazyjnie“ plantacye la Guardy?

Czyżby ten wzorowy i sumienny urzędnik, uchodzący za perłę prawdziwą, był najbezczelniejszym oszustem, tem gorszym, że zbrodnie swoje ukrywał pod płaszczykiem wyrafinowanej niewinności?

Sędzia gubił się w domysłach. W każdym razie sprawa z kasą i zagubionymi kluczami nie była jasną i mogła pana Louviers postawić pod surowe oskarżenie.

Jednakże oskarżenie to upadało zupełnie po zeznaniach starej służącej kasyera, Teresy Mironeau. Kobieta ta, prosta i widocznie szczera, objaśniła, że w przeddzień zbrodni późnym wieczorem, czuwając nad małą Niną w jej pokoiku, podsłyszała zupełnie wyraźnie rozmowę ojca mojego z panem Louviers, którzy znajdowali się w przyległym pokoju. Pokoje te oddzielała tylko cienka drewniana ściana, rodzaj przepierzenia. Ojciec mój, jak zeznała stara ta kobieta, przyszedł rzeczywiście do kasyera po klucz od kasy, tłumacząc się zagubieniem swojego.

Zestawiając te dwa tak zgodnie brzmiące twierdzenia, musiano przyznać, że Teresa Mironeau mówiła prawdę. O jakiemś wspólnem porozumieniu się pomiędzy obwinionym a tą kobietą nie mogło być mowy, gdyż aresztowanie kasyera było tak natychmiastowe, iż wykluczało myśl podobną.

Teresa Mironeau uchodziła zresztą za uczciwą kobietę. Mówiła jasno, szczerym, przekonywującym tonem, a jeżeli jej korzystne zeznania na rzecz kasyera mogły się wydać stronnicze, zważywszy serdeczny stosunek, jaki ich łączył, to potwierdzone one zostały zupełnie słowami dozorczyni domu. — Twierdziła ona bowiem, że Louviers noc zbrodni spędził u siebie i nie wydalił się ani na chwilę z mieszkania.

Po tak kategorycznym dowodzie niewinności oskarżonego, sąd uznał za stosowne wypuścić go na wolność.

„Teresa Mironeau“. Łatwem jest do zrozumienia ze zestawień powziętych, iż postać starej służącej stała się dla nas nadzwyczaj interesującą i godną uwagi. Jeżeli ktokolwiek poza panną Louviers był w posiadaniu tajemnicy jej ojca, to tą osobą musiała być z wszelką pewnością Teresa Mironeau.

Zapiski sądowe przekonały nas, że pochodziła z górnej Wandei z miasteczka Chaillé les-Marais, skąd również pochodził pan Louviers. Od Maryusza zaś dowiedziałem się, że osiedliła się tam znowu przy rodzinie swojej po wyjeździe pana Louviers do Meksyku.

Należało więc bezzwłocznie przekonać się, czy żyje jeszcze i w razie tej szczęśliwej dla nas okoliczności porozumieć się z nią otwarcie.

Sądząc, że synowi dawnych chlebodawców swojego pana okaże więcej zaufania i szczerości, postanowiłem sam udać się do niej. A tam może będzie w mojej mocy uczynić i drugie odkrycie, odnoszące się do tego niejasnego jeszcze dla mnie spadku. — Miałem również nadzieję, że przy tej sposobności wpadnę na ślad mojej nieznajomej z pokładu „Nawary“, lub przynajmniej dowiem się coś o niej.

Wyruszyłem więc do Wandei.

Przybywszy do Chailles les Marais zwróciłem się do wójta, urzędującego już tutaj od lat czterdziestu, bo on tu przecież musiał znać wszystkich.

Przyjął mnie bardzo grzecznie.

Na zapytanie moje o Teresę Mironeau odpowiedział mi:

— Ta kobieta żyje jeszcze, mój panie i pomimo podeszłego wieku nie straciła nic na rzeźkości i przytomności umysłu. Mieszka razem z najstarszym synem swoim i synową od chwili wyjazdu pana Louviers. Znałem tego zacnego człowieka od dziecka. Pozostawił tutaj jak najlepsze wspomnienie. A wiadomość tego nieszczęsnego oskarżenia, któremu podpadł tak niespodziewanie, wywołała swojego czasu w naszej okolicy niemałe oburzenie.

— Zdaje mi się, że otrzymał jakiś spadek wkrótce po tem wydarzeniu? — zapytałem.

— Tak jest. Spadek dosyć znaczny, pięć czy sześćkroć sto tysięcy franków, po wuju swoim, bracie jego matki.

Odczułem żywe zadowolenie, usłyszawszy z ust wójta oficyalne poświadczenie tego dręczącego mnie ciągle szczegółu.

Podziękowałem mu serdecznie za dane mi informacye i skierowałem się do domku wskazanego mi przez niego. Znajdował się on niedaleko kościoła na obszernej terasie, okolonej drzewami, skąd rozciągał się malowniczy widok na równiny i moczary wandejskie, poprzerzynane rozlicznymi parowami.

Znalazłem Teresę Mironeau na progu domu. — Była to wysoka, silna kobieta o ostrych i wybitnych rysach twarzy i poważnych, intelligentnych oczach. Białe, jak śnieg, włosy chronił charakterystyczny wysoki czepiec, noszony przez wszystkie kobiety tej okolicy.

Usłyszawszy moje nazwisko, zbladła silnie i mgła lekka pokryła jej spojrzenie.

— Ach! — wyszeptała wzruszona po długiej chwili milczenia — to pan jest synem tego nieszczęśliwego pana Fontaine, zamordowanego dziewięć lat temu? Ale niechże pan spocznie, proszę.

Ruchem ręki zaprosiła mnie do wnętrza domu i zaprowadziła do schludnego i przyjemnego pokoju. Tam umieściła mnie w wygodnym, starym fotelu, a sama usiadła na nizkim stołeczku w pobliżu mnie. Długo milczała, jak gdyby zbierając rozproszone myśli i wspomnienia, a ja nie śmiałem przerywać tego skupienia, choć drżałem z niecierpliwości usłyszenia jej zwierzeń.

— Pan pragnie wiedzieć wszystko? — odezwała się wkońcu, podnosząc na mnie poważne spojrzenie.

Skinąłem tylko głową, gdyż wzruszenie odebrało mi siłę mówienia.

— A więc to było tak — zaczęła powoli, cedząc słowa. — We środę wieczorem, na dzień przed zamordowaniem rodziców pana, około godziny dziewiątej siedziałam, czuwając przy małej, która dnia tego jakoś długo usnąć nie mogła i skarżyła się na ból głowy, kiedy zadzwoniono do naszego mieszkania. Pan Louviers, który właśnie przed chwilą powrócił z codziennej swojej partyi domina, granej w poblizkiej kawiarni, poszedł otworzyć. Usłyszałam głos ojca pana.

Pan Louviers wprowadził go do jadalnego pokoju, przylegającego do sypialni małej Niny i mimowoli podsłyszałam całą ich rozmowę.

Pan Fontaine przepraszał mojego pana, że go niepokoi o tak późnej godzinie.

— Skrócił więc pan podróż swoją? — zapytał pan Louviers bardzo zdziwiony.

— Tak jest. Miałem zamiar powrócić dopiero w sobotę, ale w ciągu podróży przypomniałem sobie, że nie wziąłem ze sobą kilku potrzebnych mi papierów i powróciłem po nie. Odjeżdżam jutro rano. Ale niech pan sobie wyobrazi, zarzuciłem gdzieś klucz mój od kasy, gdzie zamknięte są te papiery i przychodzę prosić pana o pożyczenie mi na dziś swojego.

— Jakto, pan zgubił swój klucz? — zapytał zdumiony pan Louviers.

— Tak i nie wiem doprawdy, jak się to stać mogło. Bardzo jest mi to nieprzyjemne.

— Oto wszystko, co powtórzyłam sędziemu podczas śledztwa — kończyła Teresa Mironeau.

— Sądzi więc pani zatem — zapytałem — że powrót mojego ojca był zupełnie przypadkowy, spowodowany jedynie potrzebą odszukania papierów i że przyszedł do pana Louviers jedynie po klucz od kasy?

— To jest moje głębokie przekonanie — odpowiedziała stanowczo Teresa Mironeau.

Zamyśliłem się głęboko. Fatalny jakiś zbieg okoliczności występował tak jawnie, iż budzić mógł różne domysły. Przekonany jednak byłem, że cała sprawa musiała mieć przebieg następujący:

Lopez dowiedział się od Manueli, że ojciec mój wyjeżdża na tydzień. Na wszelki przypadek wydaje tej dziewczynie rozkaz wykradzenia klucza od kasy, a ponieważ matka zlekceważyć musiała groźbę jego, zawartą w lakonicznej depeszy, potajemnie, przy współudziale Manueli dostał się do gabinetu mojego ojca. Podczas kiedy zajęty był wypróżnianiem kasy, musiał niespodziewanie nadejść mój ojciec, nieoczekiwany przez nikogo z domowych. Wywiązała się walka, w której ojciec mój został pokonany. Matka moja, przywabiona hałasem, wbiegła zapewnie w tej chwili do pokoju i według wszelkiego prawdopodobieństwa, na widok dokonanej zbrodni, straciła przytomność. Nędznicy korzystają z jej bezwładności i zmuszają ją do wypicia zawczasu już przygotowanej trucizny, poczem przenoszą do jej buduaru na łóżko, gdzie nieszczęśliwa kobieta po kilku godzinach strasznej męczarni umiera. Wtenczas Ma-

nuela, oczekująca tej chwili, wsuwa jej w rękę flaszeczkę z trucizną, chcąc podsunąć myśl samobójstwa.

Gdyby rzeczywiście wszystko odbyło się w sposób praezemnie przypuszczany, to w takim razie Louviers był zupełnie niewinnym i na pamięć jego nie padał najmniejszy cień wspólnictwa.

Teresa Mironeau milczała, szanując moją zadumę. Dopiero na prośbę moją, ażeby mi opowiedziała dalszy przebieg rozmowy mojego ojca z kasyerem, zaczęła mówić:

— Po ostatnich słowach ojca pana zapanowało długie milczenie.

— Przyszedłem poprosić pana o pożyczenie klucza od kasy — powtórzył pan Fontaine.

Usłyszałam dziwnie zmieniony głos pana Louviers.

— Oto jest klucz — szeptał urywanie — ale wolę od razu uprzedzić pana... dopuściłem się wielkiego przewinienia... chcę to panu wyjaśnić i proszę o wyrozumiałość...

— Co? co pan mówi? — zawołał zdumiony pan Fontaine. — Pan się dopuścił przewinienia? Czy dobrze słyszę?

— W kasie brakuje piętnaście tysięcy franków... miałem nadzieję jutro je tam włożyć z powrotem... Zwróciłem się z prośbą o tę sumę do mojego wuja w Vandei... Powinienem był otrzymać ją dzisiaj rano... i gdyby nie nieszczęśliwe opóźnienie pocztowe...

— Ojciec pana nie dał biedakowi dokończyć — opowiadała Teresa Mironeau dalej. — Pomimo wielkich swoich zalet, niech mi pan wybaczy tę szczerość, był nadzwyczaj surowym dla swoich urzędników, nielitościwym nawet, jeżeli chodziło choćby o drobne jakieś przewinienie. Uniósł się takim gniewem, że zadrżałam o mojego biednego pana i nazwał go oszustem, złodziejem, wkońcu zażądał od niego szczerego wyjaśnienia, na jaki cel użył tych pieniędzy. Po długich wahaniach Louviers, nieprzytomny prawie ze wstydu i rozpaczy, przyznał, że wbrew swojemu zwyczajowi zasiadł do gry w karty w. niedzielę wieczorem — niech pan sobie zapamięta tę datę, w niedzielę wieczorem — i że przegrał sumę piętnastu tysięcy franków.

— Ach, to co znowu? — zawołałem, przypomniawszy sobie o kapitaliku kasyera — To nie piętnaście, ale pięćdziesiąt tysięcy musiał przegrać owego wieczoru.

— Cierpliwości trochę, mój drogi panie, powrócimy jeszcze do tego.

— Może sobie pan wyobrazić co się działo, kiedy ten biedny Louviers uczynił to kompromitujące zeznanie. To było istne piekło, mój panie! Pan Fontaine wpadł w wściekłość, graniczącą ze szałem. Obrzucił go różnemi przezwiskami, groził natychmiastowem wyrzuceniem z biura i oddaniem w ręce władz sądowych. Ach, co to była za straszna scena, mój drogi panie! Czułam, że serce pęknąć mi może z żalu! Mój biedny chłopiec upadł do nóg pana Fontaine, błagając, żeby go nie gubił, żeby miał litość nad nim i nad niewinnem dzieckiem, wspominał o swojej nieskalanej przeszłości, o wierności i uczciwości tyloletniej. Nareszcie te prośby gorące nieszczęśliwego i łzy jego wzruszyły cokolwiek ojca pana.

— Dobrze — mruknął gniewnie po dłuższej chwili — zataję tę nieszczęsną sprawę przed władzą i nie oddalę pana od siebie, ale czynię to jedynie dla tej małej, którą żona moja bardzo lubi. Ale musi się pan zobowiązać podpisać mi zeznanie, w którem przyznajesz, że z kasy mojej dobrowolnie wziąłeś piętnaście tysięcy franków, aby nimi zapłacić dług karciany. Papier ten pozostanie u mnie, jako gwarancya dalszej uczciwości pana.

Naprożno mój nieszczęśliwy pan błagał ojca pana o litość, pozostał on niewzruszony. Po dłuższem milczeniu doleciał mnie znowu głos jego stanowczy i zimny:

— Dopóki pan dalej będzie szedł uczciwą i prostą drogą, nie potrzebuje się pan niczego obawiać. Zna mnie pan dobrze i wie, że lekkomyślnie i niepotrzebnie nie zużytkuję tego papieru. Ale na razie zachować go muszę u siebie.

— Ojciec pana po tych słowach odszedł, a ja niespokojna czemprędzej wbiegłam do jadalnej sali. Wstrząsał mną gniew i oburzenie, ale zamieniły się prędko w litość bezgraniczną, kiedy ujrzałam tego biedaka. Był tak zatopiony w myślach, że nie słyszał, kiedy weszłam do pokoju. Siedział pochylony, wsparty ramionami o stół i powtarzał bezdźwięcznym, stłumionym głosem:

— Złodziej! złodziej! Ja jestem złodziejem!

— Gdyby pan był widział rozpaczliwy wyraz jego oczu! Pochyliłam się nad nim i położyłam rękę na jego głowie. Spojrzał na mnie, jak człowiek ze snu ciężkiego zbudzony i westchnął bardzo głęboko.

— To ty, Tereso? — zapytał.

— Ja, mój biedaku. Ale powiedz mi, tak, jak dotąd mówiłeś mi wszystko szczerze i otwarcie, jak matce rodzonej, czy to możliwe, żebyś ty to uczynił? Ty ośmieliłeś się czerpać z kasy twojego szefa?

Zerwał się, jak szalony i potrząsnął mnie silnie za rękę. Twarz miał tak bladą i tak zmienioną, że się go przeraziłam.

— Zamilcz Tereso! zamilcz! — zawołał z płaczem — zamilcz przez litość! To nieprawda! słyszysz! to nieprawda! Ja nic nie ukradłem! Ja nie jestem złodziejem!

— Wybuch ten zdziwił mnie bardzo, bo przecież przed chwilą słyszałam własne jego słowa.

— Ale przecież przyznałeś się dobrowolnie — odpowiedziałam mu. — Grałeś w karty w niedzielę i przegrałeś tę sumę.

— Nie! to nieprawda! — zawołał gwałtownie. — Nie przegrałem tej sumy w karty! Ty wiesz najlepiej, że w niedzielę nie wychodziłem, jedynie tylko na chwilę do kawiarni.

— Tak, mój drogi panie, to była prawda — potwierdziła z całem przekonaniem Teresa Mironeau, patrząc na mnie jasnemi, poważnemi oczami.

— Więc cóż to mogło znaczyć? — zapytałem zdumiony. — Dlaczego mówiąc z ojcem moim, pan Louviers oskarżał się tak lekkomyślnie?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Zapytałam go łagodnie: Dlaczego więc skłamałeś, mój biedaku, dlaczego pozwoliłeś przypuszczać panu Fontaine?...

— To jest tajemnica, Tereso — przerwał mi żywo — i ta tajemnica nie mnie dotyczy. Przysiągłem, że zachowam ją święcie i zabraniam ci, rozumiesz mnie dobrze, zabraniam ci wspominać o tem komukolwiek. To, co usłyszysz odemnie, musisz zachować dla siebie teraz i w przyszłości. Potrzebowałem pięćdziesięciu tysięcy franków koniecznie, chodziło tu o śmierć lub życie. Sprzedałem wszystkie swoje wartościowe papiery, które wyniosły sumę trzydziestu pięciu tysięcy franków, ale to było jeszcze mało. Napisałem więc do mojego wuja, żeby mi przysłał resztę. List, niestety, nie doszedł na czas... Fatalność tylko popchnęła mnie siłą do otworzenia kasy pana Fontaine. Ale powtarzam ci, Tereso, zaklinam na to, co mam najświętszego na świecie, na pamięc drogiej mojej żony i na głowę mojego niewinnego dziecka, że pomimo przygnębiających mnie okoliczności, jestem uczciwym człowiekiem, takim, jakim dotąd byłem. Czyn mój może jest lekkomyślny, ale zhańbić mnie nie może!

Teresa Mironeau umilkła, a z oczu jej, błyszczących wiarą i prawdą, potoczyły się łzy.

Opanowawszy wzruszenie, mówiła dalej silnym głosem:

— Ja również gotowa jestem przysiądz najsolenniej, że biedny mój chłopiec mówił prawdę, że nie był zdolny do nieuczciwego czynu! W tem wszystkiem jest jakaś ciężka tajemnica, której odgadnąć nie mogłam, ale którą jedynie córka zmarłego będzie mogła panu wyjawić. Bo widzę ze słów pana, że odebrać musiała ona jedyna zwierzenie jego przed śmiercią.

— Reszta panu wiadoma, nieprawdaż? Wie pan, że został zaaresztowany i po jakimś czasie wypuszczony na wolność, na skutek zeznań dozorczyni domu i moich.

Niedługo później odziedziczył dosyć znaczny majątek po wuju swoim. Dalszy pobyt we Francyi stał się dla niego niemożliwy. Za wiele tu ciężkich chwil przebył, a myśl, że ten oskarżający go papier, dany ojcu pana, jest w rękach prawdziwego mordercy, nie dawała mu spokoju. Był przecież na łasce tego nędznika, który mógł codziennie chcieć z niego użytek uczynić. A to byłoby ostateczną zgubą dla niego.

— Papier ten zaginął wprawdzie — rzekłem — ale nikt nie mógł mieć pewności, że znajduje się w rękach mordercy. To są tylko przypuszczenia.

— Nie, mój panie! Papier ten mógł być tylko znaleziony w portfelu pana Fontaine, albo też, w kasie ogniotrwałej, a ani tu, ani tam nie znaleziono go po dokonaniu zbrodni. Portfel, jak pan wie, został skradziony, jak również zawartość kasy, razem z nią zginął więc i ten papier. Louviers sam mi o tem mówił, w tym czasie kiedy na nalegania żony na jakiś czas powrócił do Francyi i dodał jeszcze, że już teraz wie, kto jest mordercą pana Fontaine. Nie chciał jednak mi wyjawić jego nazwiska.

— Ale jakimże sposobem pan Louviers doszedł do tej wiadomości?

— Widział raz ten papier w rękach człowieka, a ten człowiek nie mógł być nikim innym, jak mordercą pana Fontaine.

Wiadomość ta uczyniła na mnie piorunujące wrażenie.

— Coś więcej panu powiem — rzekła po przerwie Teresa Mironeau — Nieszczęśliwy mój pan przeżył resztę życia w ciągłej obawie i pragnieniu zwrócenia panu tej sumy po dojściu pana do pełnoletności i wtajemniczenia pana w smutną tę sprawę. W tym celu przesiedlił się do Meksyku, gdziebym była chętnie za nim pospieszyła, gdyby nie opór mojej rodziny. Kochałam go tak bardzo, a nie wiedziałam, że teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebuje mojej opieki i przywiązania. Panie! gdyby go był pan znał! Taki dobry, usłużny i łagodny pomimo tej jedynej lekkomyślności, która tak fatalnie zaciążyła na jego życiu. Upłynęło kilka lat. Ożenił sie powtórnie, co wywołało we mnie wielkie zdziwienie, wiedziałam bowiem, że zachował o pierwszej swej żonie wspomnienie naj gorętsze. I oto przed trzema miesiącami powrócił do Francyi, której unikał od tej tragicznej chwili. Był tu u mnie razem z córką. Wyrosła już na piękną pannę ta mała nasza Nina. Poznałam po nim, że nie czuł się szczęśliwy, choć nie zwierzał się przedemną, będąc z natury skrytym i nieśmiałym, kiedy chodziło o niego. Ale chociaż mi nie powiedział, zrozumiałam wszystko. Jeżeli zdecydował się na tę podróż do Francyi, to tylko pod wpływem nalegań tej wstrętnej istoty, która go tyranizowała. A przytem pragnął gorąco widzieć się z panem, ale pan podróżował wówczas, nie było pana w kraju. Nawet o adresie pana nie mógł się dowiedzieć. Opiekun pana nazajutrz po śmierci rodziców zlikwidował wszystko i dom sprzedał.

Louviers spędził dwa dni ze mną i powrócił do Paryża. Nie domyślał się biedak, że będzie to ostatnia jego podróż. Umarł wkrótce w Paryżu. I ta śmierć jego, mój drogi panie, zanadto była raptowną, aby być normalną. Kiedy żegnał ze mną, czuł się jaknajzdrowszym i w pełni sił. W kilka dni otrzymałem od Niny wiadomość o jego śmierci, a niedługo później biedactwo napisało do mnie list alarmujący, w którym donosi, że macocha jej pomimo jej woli i oporu zmusza ją do powrotu ze sobą. Nie mogła się opierać, nie będąc jeszcze pełnoletnią. Zebrana pospiesznie rada familijna ustanowiła żonę pana Louviers opiekunką sieroty. Wyznaczono również dodatkowego opiekuna, a był nim przyjaciel jakiś pani Louviers. Nina musiała więc iść za ich wolą. Odtąd niewiem co się z nią stało.

— Czy sądzi pani, że teraz, skoro odzyskała wolność, przybędzie tutaj odwiedzić panią?

— Zdziwiłabym się, gdyby uczyniła inaczej. Wie, jak bardzo kochałam jej ojca i że ją wychowywałam od lat najmłodszych.

— Przypuszczam również, że panna Louviers nie omieszka zjawić się tutaj. Gdyby się to stało, lub gdyby tylko listownie zwróciła się do pani, zechce pani podać jej mój adres, który tu u pani zostawiam. W razie zaś jej przybycia, czy zechce mnie pani zawiadomić natychmiast telegraficznie. Przybędę zaraz i porozumię się z nią co do dalszego działania.

— Może pan na mnie liczyć — odpowiedziała z prostotą Teresa Novinneau.

Niedokładne zwierzenia tej dobrej kobiety nie potrafiły mnie uspokoić, przeciwnie, wywołały we mnie chaos sprzecznych przypuszczeń i myśli. Chociaż uczciwość Louviers'a wyłaniała się teraz wyraźnie, pomimo przygnębiających go okoliczności i jaskrawego faktu nadużycia kasy — jednak tajemnica, którą nosił ze sobą i z którą zszedł do grobu, została dla mnie nie zbadana.

A odkrycie tej tajemnicy mogło wyjaśnić zupełnie nie tylko jego zachowanie się, lecz i wydać w moje ręce morderców moich rodziców.

Ale właścicielką tej tajemnicy była jego córka i mogłem mieć nadzieję opartą na poważnych przypuszczeniach, że zechce teraz, samotna i nieszczęśliwa, poszukać schronienia u piastunki zmarłego ojca, lub przynajmniej poinformuje ją o miejscu swojego pobytu. W każdym razie byłem na drodze odgadnięcia tej męczącej zagadki!

Przed opuszczeniem Chaillè, udałem się jeszcze do biura pocztowego, dokąd na wszelki wypadek podałem panu Parpaing mój adres.

Zastałem tam telegram, który poruszył mnie niemało:

„Lopez wylądował w porcie St. Nazaire!"

Tragiczny pościg.

W chwili, kiedy wchodziłem do gabinetu pana Parpaing, tenże właśnie czytał świeżo odebrany telegram od detektywa swojego, wysłanego do Saint-Nazaire.

(Dokończenie nastąpi).

Szpital „Czerwonego Krzyża“ w Rabce.

W listopadzie zeszłego roku został, jak wiadomo, szpital Ligi kobiet dla Legionistów polskich



Prof. Stan. Lipski i p. Aleksandra Szafrańska na estradzie.



Koncert w szpitalu: Goście i ranni na koncercie w klasztorze P. P. Urszulanek.

w Rabce objęty przez krajowe Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża“.

Składał on się wówczas z dwóch objektów. W jednym z nich, a mianowicie w willi zwanej „Nowy Dwór“, mieścił się właściwy szpital, na pięćdziesiąt łóżek, w drugim, „Białym Domku“, pomieszczono administracyę.

Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża“ nosiło się z zamiarem rozszerzenia szpitala w Rabce, co też obecnie, z nastaniem pory ciepłej, uskuteczniono. Z dniem 1. maja otwarto nowy oddział szpitalny na dalszych sto łóżek, w willi „Pod Matką Boską“. Oddział ten ma służyć wyłącznie dla Legionistów.



Ludwika Marek-Onyszkiewiczowa.

W ten sposób została zrealizowaną szlachetna myśl założycielek, a Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża“ złożyło nowy dowód żywotności i planowej pracy w usługach wielkiej idei w ogólności, a własnego społeczeństwa w szczególności.

Zbiegiem okoliczności otwarcie tego nowego oddziału zeszło się z datą „Tygodnia Czerwonego Krzyża“. Bezwątpienia wpłynie to jak najlepiej na rosnącą już i tak z dniem każdym popularność krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“.

Ludwika Marek-Onyszkiewiczowa.

Z nazwiskiem tem łączy się wspomnienie najwybitniejszej ongi postaci muzycznej Lwowa, Ludwika Marka, rywala Mikulego, ucznia Liszta, jednego z najtęższych w swoim czasie pianistów polskich.

Karyerę sceniczną rozpoczęła w operze lwowskiej za dyrektury Pawlikowskiego jako „Gilda“ w Rigolecie Verdiego.

Po występach we Lwowie, udaje się p. Ludwika Onyszkiewiczowa na dalsze studya, pod kierunkiem Mme Lamoureux do Paryża, poczem Edward Reszke wprowadza ją na scenę Teatru Wielkiego w Warszawie, znajdując w niej niepospolity sopran liryczny o charakterze koloraturowym — dźwięczny, o wysokiej skali i nieporównanej czystości tonu. Już w roku 1903 widzimy ją koncertującą w Rzymie, Paryżu i Nicei. W maju 1913 r. występuje w Queen's Hall w Londynie i w Oratoryum w Bechstein-Hall. W roku 1915 w Nowym Jorku, Filadelfii, Bostonie i Chicago. Po powrocie do Europy śpiewa w Madrycie, zapraszana do Infantki Izabelli hiszpańskiej, interpretuje Żeleńskiego i innych pieśniarzy polskich. — Ostatnio śpiewała w Berlinie w Klindworth Scharwenka Sal.

Prasa angielska, francuska, niemiecka, rosyjska i polska z uznaniem podnosi niezwykłe warunki wokalne artystki. Berlińska „Norddeutsche allgemeine Zeitung“ zachwyca się świeżością i metalicznem brzmieniem jej głosu, bogactwem i siłą tonu.

Przebywając chwilowo w kraju p. Ludwika Marek-Onyszkiewiczowa da się poznać w paru koncertach, urządzonych na cele krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“.

Artystka tej miary znajdzie niewątpliwie i w kraju zasłużone powodzenie i uznanie, jakiego nie skąpi jej zagranica.

Koncert w szpitalu.

W klasztorze P. P. Urszulanek przy ulicy Starowiślnej w Krakowie, gdzie mieści się szpital forteczny, odbył się w poniedziałek Wielkanocny koncert dla chorych żołnierzy. Dzięki troskliwym zabiegom P. P. Urszulanek zamieniono salę szpitalną na salę koncertową, przystrojono zielenią, na podyum ustawiono fortepian, zaś wzdłuż ścian stanęły łóżka, których nie mogli opuścić ciężko chorzy, podczas gdy środek sali zajęły ławy i krzesła dla rekonwalescentów. W pierwszym rzędzie zasiedli goście. Z uderzeniem godziny trzeciej rozpoczął się koncert. Profesor Stanisław Lipski, pianista naszego konserwatoryum i ceniony kompozytor, zagaił koncert marsowym rytmem chopinowskiego poloneza, poczem popłynęły dźwięki melodyjniejszych utworów: Schuberta, Chopina, Brahmsa, Paderewskiego; mazurkiem własnej kompozycyi zamknął profesor Lipski część fortepianową. Nastąpiły pieśni. Zaszczytnie znana wykonawczyni p. Aleksandra Szafrańska, artystka opery warszawskiej, śpiewem swym wzbudziła niemały zachwyt. Z właściwem sobie uczuciem i zdolnością interpretacyjną odśpiewała pieśni Moniuszki, Niewiadomskiego, Franza i Schumana, aryę Smetany, znalazł się i aktualny „Stach“, który poszedł na wojnę, a dla naszych Mazurów piosenki ludowe w układzie Szopskiego.

I roziskrzyły się oczy, na niejednej twarzy zbolałej wykwitnął uśmiech, dawno nie widziany. To też prawdziwie dobry uczynek spełnili artyści, że w ten dzień ogólnego wesela pospieszyli z pieśnią w mury szpitala, by koić cierpienia i siać słoneczne blaski sztuki w dolę nieszczęśliwych.



Szpital „Czerwonego Krzyża“ w Rabce: Zewnętrzny widok pawilonu „Nowy Dwór“ według akwareli jednego z chorych.

Kronika tygodniowa.

Według obietnicy, skoro święta Wielkanocne już są za nami, składam dziś dopiero najdokładniejsze sprawozdanie, jak je spędziłem, chcąc w ten sposób ułatwić zadanie memu biografowi, gdy kiedyś zabierze się do spisywania dziejów mego pracowitego żywota.

Gdzie przez ten czas byłem, a kogo ominąłem, to do rzeczy nie należy, wystarczy, jeśli powiem, że przez niedzielę, poniedziałek, a po części i wtorek pracowałem w pocie czoła, walcząc dzielnie koło różnych przyczółków stołowych. Niedziela i poniedziałek rano przeznaczone były dla starego Krakowa, popołudnie poniedziałkowe dla Zwierzyńca, wtorek dla Podgórza i innych gmin, położonych z tamtej strony Wisły. Na ogół spożyłem kilkanaście funtów wieprzowego ciała pod różnemi postaciami, choć, prawdę powiedziawszy, to teraz kiełbasę, tak zwaną wieprzową, może najspokojniej spożywać i każdy pobożny żyd, gdyż wieprzowiny w niej ani śladu. Pytałem jednego masarza, z czego oni je robią, odparł, że to tajemnica stanu, której zdradzać nie wolno. Co do płynnej części przyjemności świątalnych, to muszę się przyznać, że spotykałem prawie wszędzie wina węgierskie krajowego wyrobu, piwo zaś było przeważnie nic nie warte. Te braki uzupełniała jednak staropolska gościnność, z jaką mnie wszędzie podejmowano, być może dlatego, by dać mi namacalny dowód, że się nie pomyliłem, pisząc swego czasu, iż ta cnota w społeczeństwie naszem jeszcze żyje i pięknie się krzewi. W każdym razie połknąłem przez ten czas tyle rozmaitych wilgoci, iż mógłby na niej pływać bardzo swobodnie średniej wielkości krążownik, nie mówiąc już o łodzi podwodnej. Morskiej choroby ani śladu, stosunki wewnętrzne zupełnie uporządkowane, wobec czego nie trzeba było uciekać się pod opiekę łacińskiej kuchni, która także co tydzień otrzymuje nową taryfę, coraz maksymalniejszą.

Wystarczy powiedzieć, że kto chce uraczyć się olejem rycynowym, aby marzenia jego tem prędzej się spełniły, musi wydać na to najmniej siedmdziesiąt halerzy, bo mniejszej ilości nie otrzyma.

I żyj tu i bądź zdrów i wesoły w takich warunkach!

Sam byłem świadkiem w drugie święto Wielkanocy, jak do apteki przyszła jakaś Kasia, czy Marysia i prosi olejku za dwadzieścia halerzy.

— Na włosy? — pyta aptekarz.

— Nie, proszę pana! Takiego na wnątrze!

— Więc rycynowego!

— Tak!...

— Kosztuje najmniej siedmdziesiąt halerzy!

— Kiedy pani chce bardzo za dwadzieścia...

— Cóż ja na to poradzę. Powiedz pani, że flaszeczka kosztuje siedmdziesiąt halerzy i nie zawracaj mi głowy.

Za chwilę Kasia jest znowu i powiada seryo:

— Proszę pana aptekarza, pani powiedziała, że jeżeli pan nie da za dwadzieścia halerzy, to pani umrze, bo jest chora, a potem pójdzie na skargę do magistratu i każe pana zamknąć do kryminału!

— A niech sobie idzie! Olejek tyle kosztuje. Kto chce mieć przyjemność, musi za nią płacić. Ja olejku zadarmo nie dostaję!

Wobec takiej odpowiedzi Kasia poszła do domu z nosem spuszczonym na kwintę i próżną szklanką, aby znów po kwadransie wrócić i zawiadomić, że pani zmieniła już projekt i prosi o flaszkę gorzkiej wody, ale większą, bo i pan jest chory, gdyż zjadł coś paskudnego. Sytuacya się wyklarowała, spokój nie został niczem zakłócony, marzenia chorego małżeństwa z pewnością się ziściły, przyszły historyk wojny ma jednak znowu illustracyę, jak teraz ciężko żyć na świecie, skoro nie można sobie nawet pozwolić na taką niewinną a tanią dawniej rozrywkę, jak zażycie olejku rycynowego za dwadzieścia halerzy.

Całe szczęście, że tego roku mniej jedzono w czasie świątecznym, nie potrzeba też było w sztuczny sposób doprowadzać stosunki wewnętrzne do równowagi, wobec czego zapotrzebowanie oleju spadło do minimum, na co znów narzekali aptekarze, mówiąc:

— Interes idzie źle! Ludzie są zanadto zdrowi, a to nie jest dobrze!

Wycieczki do znajomych robiłem sam, na własną rękę i własnemi nogami, Weronisia obleciała tymczasem kilkadziesiąt przyjaciółek i przyniosła stamtąd tyle różnych plotek, iż, powiada, wystarczy jej materyału do gadania na cały miesiąc. Jest jednak niepocieszoną. Jedna jedyna baba, na którą się zdobyła, wyszła z pieca z zakalcem!

— Nie wyruszała się należycie! — narzekała przedemną, wiedząc, że chętnie dzielę z nią każdy ból i każdą radość.

— To trzeba było dodać kilka kropli oleju rycynowego! — ja jej na to — Możeby ją było ruszyło...

— Tobie tylko głupstwa w głowie, gdy ja mówię poważnie. Powiedz sam, czy nie szkoda tylu jaj i mąki... Czysta nulka...

— Dobrze ci tak! Wiesz o tem, że z czystej mąki nie wolno nic wypiekać. Trzeba ją było czem zapaskudzić, a wszystko byłoby w porządku.

— W takim razie poproszę już ciebie, gdy będę miała znów piec... Ty to zrobisz według przepisów magistrackich...

— I ręczę, że się uda!

Z pretensyami wobec mnie wystąpił także jeden z mych przyjaciół politycznych, który zaprosił mnie do siebie na poniedziałek wieczór, zapowiadając, że uraczy mnie homarem w majonezie, szynką na gorąco i indykiem. Wobec tego, że byłem już gdzieindziej zaproszony, a wiadomo, iż na podstawie prawideł fizyki ciało równocześnie w dwu miejscach znajdować się nie może, nie poszedłem. Nie chciałem zresztą psuć sobie podniebienia takimi wykwintnymi smakołykami, na jakie dziś nie każdy może sobie pozwolić.

(Wyobrażam sobie, z jakiem sercem czyta to pan inspektor podatkowy!... Niezawodnie mówi do siebie:

— Dawać go tu! Homary, szynka, indyk! Czy kto słyszał?... A ludziska gadają, że ciężkie czasy i nie chcą płacić podatków...)

Spotkawszy mnie potem ów pan, powiada, że ja jestem temu winien, że majonez się nie udał.

— Moja wina? — pytam.

— Tak! Ponieważ nie przyszedłeś.

— A szynka dobra była? — badam dalej.

— Palce lizać!

— A indyk?

— Warto mu było buzi dać!

— W takim razie policzę to na karb mej zasługi, która w ten sposób zrównoważy się z winą. Gdybym był przyszedł, homary byłyby może pycha, zato szynka i indyk byłyby się może nie udały!

Zgodził się na to i nie ma już do mnie pretensyi, zwłaszcza, gdym go zapewnił, że ja to wszystko przy sposobności odjem i odpiję.

Pogoda w czasie świąt była nienajgorsza, dopiero we wtorek, to jest w dzień Rękawki zaczął padać deszczyk, co jednak na odbycie tej uroczystości bynajmniej nie wpłynęło, przedtem już bowiem odwołano ją z polecenia władzy. Co to dziś zresztą Emaus i Rękawka! Zeszły całkiem na psy. Dość powiedzieć, że Towarzystwo ratunkowe przez oba te dni interweniowało zaledwie po kilka razy w wypadkach pobicia (ścieranie się różnych oryentacyi politycznych), gdy tymczasem po inne lata karetka pogotowia była cały dzień w ruchu. Równocześnie z naszemi świętami przypadły także ostatnie dni żydowskiej Paschy, co również ujemnie wpłynąć musiało na przebieg obu ludowych uroczystości.

Na pociechę otrzymaliśmy w poświątecznym tygodniu nowe wydanie taryfy maksymalnej oraz zapewnienie, że tytoń nie podrożeje, jak o tem mówiono. W ślad za tem zaczęły się pokazywać na widok publiczny różne artykuły spożywcze, których dotąd brakło, znalazł się także i tytoń oraz cygara, choć ich w ostatnich czasach nie dostałeś ani na lekarstwo, zwłaszcza w drobnych trafikach. Zato główna trafika w Rynku była ciągle oblężona, a cały jej personal pracował w pocie czoła, za co mu się należy uznanie i wdzięczność. Ale na cóż się zdadzą ich dobre chęci, gdy z magazynów rządowych nie dostaną tyle zapasów, ile ich dla Krakowa potrzeba? Z próżnego pudełka nie tylko trafikant, ale nawet Salomon nie sprzeda ani cygara, ani papierosa.

Każdy kto pali, wie, jak trudno obejść się bez tytoniu. Raczej odmówi sobie jedzenia, aniżeli tych kilku niewinnych dymków. Wszyscy palacze byli też pogrążeni w czarnej rozpaczy, zwłaszcza, gdy doszła ich wiadomość, że nie dość, iż tytoniu brak, ale podrożeje jeszcze raz i to prawie w dwójnasób. Na szczęście pokazało się, że to były tylko „strachy na Lachy".

Oprócz taryfy maksymalnej i kłopotów tytoniowych mieliśmy w tym czasokresie pierwszą burzę (ale nie domową) z prawdziwymi grzmotami i piorunami. Nawiedziła ona nas w sam dzień pierwszego maja. Socyaliści nie urządzali tego roku żadnego obchodu, wobec czego i kronikarz przez dzień cały pracował. A był to dzień ważny, gdyż pierwszy według nowego czasu letniego, który zaprowadzono dlatego, by wyzyskać w całej pełni natnralne oświetlenie, a oszczędzić na sztucznem.

Kłopotów z wprowadzaniem było dość. Z niedzieli na poniedziałek każdy czekał w knajpce do jedenastej, a gdy mu wówczas oświadczono, że już północ, zaczynał ziewać i szedł do domu.

Pewien radca, którego zainterpelowałem o to, czy zastosuje się do nowego zarządzenia, odparł:

— Częściowo, łaskawco!

— Częściowo?... Tego nie rozumiem! Może mi radca dobrodziej raczy to wytłumaczyć.

— I owszem!... Otóż do biura będę chodził według dawnego czasu, wychodził będę natomiast według nowego. W ten sposób będzie i wilk syty i owca cała!...

W poniedziałek rano biedne matki musiały o godzinę wcześniej ściągać z łóżka swe pociechy, by się nie spóźniły do szkoły, wogóle wszelkie czynności, połączone z rannem wstawaniem, trzeba było załatwić o godzinę wcześniej, co niejednego i niejedną wytrąciło ze zwykłej równowagi.

Dziwię się tylko, że magistrat nie ogłosił plakatami rozporządzenia o posunięciu zegarków, nie każdy bowiem wiedział, czy ma posunąć naprzód, czy w tył, w największym zaś kłopocie byli ci, którzy zegarków nie posiadają. Lombardy przyrzekły zregulować zastawione zegarki własnym kosztem.

Jestem pewny, że za dni kilka, a najwyżej kilkanaście przyzwyczaimy się wreszcie do nowego czasu, co powinno wpłynąć bardzo dodatnio na nasze zdrowie, musi się bowiem wstawać o godzinę wcześniej i nie można tak długo, jak to było dotąd, przesiadywać w knajpie, skoro północ mamy już o jedenastej. Duchy są tylko w kłopocie, nie wiedząc, czy mają zaczynać straszyć według nowego, czy starego czasu, choć odnośne rozporządzenie zapowiada wyraźnie, że każdy, ktoby się do niego nie zastosował, pociągniętym będzie do odpowiedzialności i przykładnie ukaranym. Ale o tych duchach teraz jakoś cicho, one pojawiają się w Krakowie z zasady dopiero w czasie wyborów, a o tych przed końcem wojny niema ani mowy.

Wartoby bodaj w kilku słowach wspomnieć o zjeździe posłów w Krakowie i odświeżeniu Naczelnego Komitetu Narodowego oraz o raucie, jaki z tej okazyi odbył się w gościnnych salonach ekscellencyi pana prezydenta, niestety wiem o tem tylko z gazet, gdyż w obradach udziału nie brałem, a na raut zaprosić mnie widocznie zapomniano.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwę dwu uroczystości ludowych, obchodzonych w Krakowie w tygodniu świątecznym.

S—n
E–s
s—k
k r
o - a
k—a
s–k
s—i
S–n
i—a
O–a
c–p

Trójkąt magiczny.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko bardzo popularnej lwowskiej osobistości.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane wyrazy. 2. Godność kościelna. 3 Inaczej eksperyment. 4. Okoliczność, mogąca się zdarzyć. 5. Farba. 6 Miasto nad Wisłą. 7. Ptak. 8. Szczątki świętych 9. Dawna polska prowincya. 10. Bogini grecka 11. Morze. 12. Taniec. 13 Przyrząd sportowy 14. Przyimek. 15. Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wih! Mój pled dwa razy nęci Czip

Grzebieniówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Jaszczurka, żyjąca w Indyach 2. Korzeń, używany jako przyprawa potraw. 3 Krzew owocowy. 4. Kwiat ogrodowy 5 Owoc południowy. 6. Zwierzę ssące.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

E! Baśka lubi chór kapłona Geni

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc cztery razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie.

1. Niema miodu bez zachodu.
2. Niema kącika bez krzyżyka.
3. Niema gadu bez jadu.
4. Nie kupuj kota we worku.
5. Nie zje żaba byka, choć nań pysk rozdziawi.
6. Nie pomogą złota, gdzie dziurawa cnota.
7. Nie wychylaj butelki do dna, bo pornszysz męty.
8. Niema złego bez dobrego.
9. Niema reguły bez wyjątku.
10. Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza.

Okienko.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a e e
f f i
i j k k n
n o o
o r r t t

Znaczenie wyrazów: 1. Syn Noego 2 Moneta. 3 Miasto w Japonii.

Zagadka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Gdy się zaziębisz, trapi cię . . . . ,
Gdybyś żył dawniej, wziąłby cię . . . . .

Homonym.
Ułożyła Wisia Kostańska z Bochni.

Każdy mi to pewnie przyzna,
Żem z imienia jest mężczyzna,
Lecz gdyby tak ze mnie chciały
Kobietę uczynić bogi,
Muszą urwać łeb mój mały
I wstawić go w moje nogi.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

AGATON OSWALD M. PERS.

PIUS URBAN F. KAGS

LEON URSYN E KLANG.

ARTUR GABR. E E GEŁONN.

ERAZM KONRAD SŁAWNY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 17.

Grzebieniówka:

D ą b r o w s k i
y r l t n
d n b o h
a k r c a
k s o k l
t e t h a
y l n o c
k k i l y
a a k m a

Szarada: Myśliwy.

Trójkąt magiczny:

C h i m b o r a s s o
H o n o r a r y u m
I n n o c e n t y
M o n a s t e r
B a l l a d a
O r g a n y
R o s y a
A n n a
S o s
S u
O

Rozsypane litery. Pańskie oko konia tuczy.

Łamigłówka kryształowa:

H
N e r
T a s o s
K a r p a t y
H e s p e r y d y
F l o r y d a
K r y w e
I d a
y

Logogryf:
B e t h o w e n
A n t y p o d y
C a l d e r o n
H u m a n i z m

Zagadki:
1) Koński ogon.
2) Chleb.
3) Groch na przetaku.
4) Skrzypce.
5) Ser.
6) Wiatr.

Zagadka: Ewa

Bilety wizytowe: Bileter. Elektrotechnik. Kancelista. Chałupnik. Marszałek powiatowy

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E. Winter Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Broda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Między specyalistami.

Profesor A: Powiadam koledze, że z tymi młodymi lekarzami to doprawdy nie do zniesienia... Nie wiem, co oni sobie myślą, włażąc nam ciągle w drogę... Ot, wczoraj dopiero wzywają mnie do pewnego domu, niestety, było już późno...

Profesor B: Pacyent umarł?

Profesor A: Ależ nie! Nie mogli się na mnie doczekać i wezwali tymczasem młodego lekarza. Gdym ja się zjawił, pacyent był już zdrów!

Profesor B: To doprawdy skandal! Powinna się tem zająć Izba lekarska!

W związku.

— Najdroższy, czy to prawda, że zakochany nie liczy się nigdy z czasem?

— Tak jest, mój aniele! Dlatego też, odkąd ciebie poznałem, obchodzę się doskonale bez zegarka, który zdeponowałem w zakładzie zastawniczym.

Przeczuwający mąż.

— Sądzę, moja żono, że masz mi coś wyznać! Zapewne, albo niewierność małżeńską, albo jakiś dług!...

— A co wolałbyś?

— Hm... to zależy od tego, jak wielki będzie ten dług...

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) — Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek i budzik. **Branzoletka z zegarkiem K 12.**



Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwornym relifem „Viribus unitis 1914—1916" w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm. wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Od 5 koron każdy zegarek radiową tarczą opatrzony i 10 letnia gwarancya na siłę świetlną. Oryginalny fabr. cennik darmo.



Pewny skutek **lub zwrot pieniędzy. Przez lekarzy zaopiniowany** jako znakomicie działający, tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust**. Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6 F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

5

(Częste objawy) bolu piersi są u wielu ludzi skutkiem ciągłe prawie trwającego zamknięcia piersi przed świeżem powietrzem. Bole takie pochodzą często ze zbyt słabego przystępu powietrza do ciała naszego. Gdyby pierś była często nieokrytą, to cyrkulacya krwi byłaby raźniejszą i bole wcaleby nie występowały. Nie ulega wątpliwości, że u ludów, które odzieży nie używają, bole piersi znacznie rzadziej się objawiają. Ażeby zahartować pierś, wskazanem jest masaże górnej części ciała, które codziennie zapomocą Fellera ból uśmierzającego fluidu z esencyi roślin, z marką „Elza" przedsiębrać należy. Ożywia on cyrkulacyę krwi i hartuje przeciw działaniu nagłych zmian temperatury. Takie zmywania „Elza-fluidem" działają nadzwyczaj dobroczynnie u osób, które często cierpią na ból piersi. 12 flaszek tego dobrego środka domowego posyła wszędzie franko za 6 koron aptekarz E. V. FELLER, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Wskazanem jest równocześnie zamówić 6 pudełek Fellera łagodnie przeczyszczających pigułek rumbarbarowych z marką „Elza" za 4 kor. 40 hal. franko. Obydwa doskonałe te środki domowe zostały na licznych wystawach odznaczone nagrodami, tysiącami pism z uznaniem zaszczycone i zawsze są zaufania godne. Powinny być zawsze w domu. (*f*)

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych

— WYROBY KRAJOWE —

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK.** **Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·50, 3 słoiki K 4·—, 6 słoików K. 5·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

Kemeny, Koszyce (Kassa), 1. fach pocztowy 12—285, Węgry.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

---

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompa potaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr. 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Kupuję i sprzedaję

złoto, srebro, brylanty

płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski **Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów**

Potrzebny zaraz trawiacz do Nowości Illustrowanych.

Założony w roku 1900! **Po drodze do Zakopanego** Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze. Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Jedyny w Stanisławowie który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" FELIKSA ANTONIEGO MAYERA**

Stanisławów, ulica Sapieżyńska L. 65 (dom własny). — Telefon Nr. 79.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego